

# Mysł Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 113 (Rok VII, Nr 8)

Sierpień, 1947

Cena (Prlice) 2/-

## WOLNOŚĆ NIEPODZIELNA

**K**IEDY, dwa i pół roku temu, w końcu listopada 1944 roku, Prezydent Rzeczypospolitej udzielił dymisji gabinetowi Mikołajczyka i powołał na to miejsce rząd koalicyjny pod przewodnictwem Tomasza Arciszewskiego, fakt ten oznaczał dużo więcej niż tylko zmianę linii politycznej. Był to rodzaj zasadniczej deklaracji ideowej: ponowne, czynne utwierdzenie postawy i celów, dla których tak znaczna liczba Polaków, w tym tyłu przywódców polskiego życia politycznego, społecznego i kulturalnego, znalazło się po okupacji Kraju przez wroga za granicą.

Zmiana ówczesna oznaczała odrzucenie wszelkich nacisków, idących w kierunku "legalskiego" przekształcenia Polski w państwo wasalne, z rządem, składającym się w znacznej mierze z agentów obcej racji stanu i fanatyków obcej duchowi polskiemu doktryny. Odrzucając te naciski, nowy rząd uznał za swój cel główny walkę o prawdziwą, niepodzielną wolność Polski, jako jedyną formę, w której naród polski może pielęgnować i rozwijać właściwy sobie typ twórczości duchowej i materialnej. Nieodpartą konsekwencją takiej postawy było także przeciwstawienie się próbom wymuszenia na prawowitych władzach Polski, pod których kierownictwem walczyła ona przeciw najeźdźcy w ciągu sześciu lat Drugiej Wojny Światowej, zgody na wyrzeczenie się jej ziem wschodnich ze Lwowem i Wilnem. Zadokumentowana została w ten sposób wobec świata wola utrzymania reszty naszego dziedzictwa historycznego na wschodzie, wykutego i chronionego w ciągu wieków ofiarnością i nadludzkim niemal trudem tyłu najlepszych Polaków.

Decyzja z listopada 1944 roku ocaliła zarazem legalną strukturę Państwa Polskiego i pozwoliła nam uniknąć sytuacji, w jakiej znalazła się np. Jugosławia w wyniku umowy Tito-Subasića, stwarzającej pozory legalnej sankcji dla przekształcenia państwa Serbów, Chorwatów i Słowenów w rodzaj sowieckiej republiki. Ostatnie dwa lata wykazały dobitnie, jak złudne były nadzieje i przewidywania tych, którzy mniemali, że za cenę kapitulacji i posłusznego dostosowywania się do nowej "rzeczywistości"

ocalić będą mogli częściową przynajmniej niepodległość swych krajów i uzyskać rzeczywisty, a nie fikcyjny, udział ugrupowań niekomunistycznych w rządach. Po likwidacji Subasića i jego przyjaciół w Jugosławii przyszła w Polsce kolej na Mikołajczyka oraz tych socjalistów z rządowej P.P.S., którzy naiwnie spekulowali na możliwość utrzymania odrębności partii od rządzącej klikii komunistycznej. Ostatnio także politycy czescy musieli sobie uświadomić zawodność taktyki, którą tak się do niedawna chełpili. Groźba faktycznego rozwalenia Czechosłowacji, którą odstraszonego rząd praski od udziału w konferencji na temat planu Marshalla, unaocniła im ponad wszelką wątpliwość, w jak ciasnej znaleźli się obroży. W dawnych krajach "satelickich" obroża ta zaciska się jeszcze szybciej i gwałtowniej, jak świadczy likwidacja resztek niezależnych stronnictw i ich przywódców w Rumunii, Bułgarii i na Węgrzech.

Okazało się, że zarówno "appeaserska" polityka mocarstw anglosaskich, jak zbytnia uległość niektórych polityków krajów Europy Środkowo-Wschodniej nie tylko nie zdołała zapewnić jakiegось, względnie choćby znośnego *modus vivendi* z Moskwą i jej marionetkami, ale przeciwnie popchnęła jeszcze bardziej czynniki sowieckie w kierunku prób zupełnego ujarznienia i całkowitego wchłonięcia tego wielkiego obszaru. Okazało się również w konsekwencji, że polityka, przeciwstawiająca się sprzedawaniu za miskę soczewicy niepodległości całych historycznych narodów, była bardziej trzeźwa i bardziej — by użyć modnego wśród "appeaserów" i kapitulantów wyrażenia — "realistyczna." Dla każdego już chyba jest widoczne, że tylko nieustraszeni, twarda postawa zarówno Zachodu, jak niezależnych przywódców politycznych krajów Europy Środkowo-Wschodniej zdołała być odmiennie ukształtowaną politykę Moskwę wobec zachodnich sąsiadów Z.S.S.R. i wymusić, w miejsce tendencji do ujarzniania, konieczność zabiegów o ich przyjaźń i współpracę.

Byłoby wszakże rzeczą niemąską ograniczać się do biernego załamywania rąk; trzeba tylko

z zaszłych wydarzeń wyciągać odpowiednie wnioski. Nie może ulegać wątpliwości, że w miarę dalszego rozwoju sytuacji międzynarodowej i zaostrzania się konfliktu między Zachodem a Sowietami zagadnienie Europy Środkowo-Wschodniej znowu, w tych czy innych okolicznościach, wypłynie na widownię. Nie oznacza to jednak jeszcze, by sprawa polska rozwiązana być miała zgodnie z naszymi pragnieniami i postulatami, — przeciwnie, nie trudno przewidzieć groźące jej nowe niebezpieczeństwa. Robota sił nam nieprzyjaznych, których i w świecie zachodnim nie brak, byłaby znakomicie ułatwiona, gdyby polskie niezależne siły polityczne rozbiły się na szereg zwalczających się komitetów i grup, z których niektóre na pewno byłyby podatne na obce wpływy i infiltracje. Jedynie w oparciu o strukturę legalnych władz Rzeczypospolitej możliwe jest prowadzenie jednolitej i skutecznej polityki polskiej; nawet te czynniki zewnętrzne, które w przyszłości pragnęłyby wygrywać dla swych celów pewne grupy, czy pewnych polityków polskich, nie będą mogły przejść do porządku nad Rządem, mającym za sobą społeczeństwo i na emigracji i w Kraju.

Podobnie tylko bezwzględnie zwarta postawa Polaków, żyjących w wolnych krajach świata, dać nam może szansę pomyślnego w przyszłości rozwiązania sprawy naszych ziem wschodnich i naszych granic zachodnich. Wystąpienia takie, jak niedawne oświadczenie "Koncentracji Demokratycznej" w sprawie granicy wschodniej Polski, wyrządzają sprawie naszej dotkliwą i niełatwą do powetowania szkodę, dając wrogom do ręki argumenty i utrudniając z góry obronę naszego stanowiska.

Jesteśmy głęboko przekonani, że mimo wszelkich prób wbijania klina między społeczeństwo w Polsce a emigrację, taka właśnie jest także w omawianym zakresie postawa wszystkich myślących Polaków w Kraju. Mają oni usta zakneblowane, ale doskonale zdają sobie sprawę z konieczności istnienia na Zachodzie centralnego ośrodka niezależnej polityki polskiej, czerpiącego swój autorytet z praw wolnej Rzeczypospolitej.



## ORIENTACJA POLSKA

Przemówienie dr. Tadeusza Bieleckiego, Prezesa Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego, wygłoszone na zebraniu publicznym S.N. w Londynie, w dniu 3 lipca 1947 r.

**W**ALKA z komunizmem znajduje dziś praktyczny wyraz na gruncie międzynarodowym, gdzie ostatnio zwłaszcza mamy do zanotowania olbrzymiej doniosłości zmiany, które mogą wpłynąć i na tempo odbudowania niepodległego Państwa Polskiego i na nasz los wygnaćcy. Powinniśmy przede wszystkim zająć się położeniem międzynarodowym, przesunięciami w układzie sił w świecie i dopiero na tym tle naszymi wewnętrznymi sprawami, które w porównaniu z wydarzeniami międzynarodowymi wyglądają na spory bez większego znaczenia.

Jaki problem skupia dziś uwagę całego świata?

Zagadnieniem tym jest zwrot w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, zapoczątkowany przemówieniem Prezydenta Trumana, a ostatnio podkreślony w tak zwanym planie Marshalla. Stany Zjednoczone wyszły z izolacji i w sposób czynny interweniują politycznie, a ostatnio ekonomicznie w sprawy nie tylko Azji, ale i Europy.

W chwili obecnej decyduje się być albo nie być Europy.

Utrzymanie powojennego układu sił w świecie, który nas wtrącił w niewolę, przedłuży naszą tulaczkę i odroczy wyzwolenie. Zawalenie się tego układu doprowadzi do szybszego odbudowania Państwa Polskiego. Dziś Ameryka wkracza z pomocą efektywną do krajów położonych bliżej pół naftowych, to jest Grecji i Turcji, ale i u t r o zająć się musi nie tylko Europą zachodnią, ale i wschodnią, bo Europa jest w pewnym sensie niepodzielna, Polski zaś, dzięki jej pozycji geopolitycznej i gospodarczej (węgiel śląski), nie można pominąć. Sprawa polska, czy kto chce czy nie chce, jest zagadnieniem międzynarodowym.

O co chodzi w planie Marshalla?

Jak to określił amerykański sekretarz stanu w przemówieniu z dnia 1 lipca, zamiar przyjęcia z pomocą Europie nie jest tylko aktem miłosierdzia, ale i chęcią uzdrowienia życia gospodarczego w świecie, od czego zależy dobrobyt mas amerykańskich. Dodajmy, że takie postawienie sprawy czyni plan amerykański bardziej realnym. Stwierdził też Marshall, że naród amerykański domaga się właściwego zużycia udzielonej pomocy. Nie może ona służyć egoistycznym interesom politycznym, czy ekonomicznym kogokolwiek.

Różnica istotna między stanowiskiem Sowietów a Ameryki polega na tym, że: 1) Sowiety chciałyby dostać pieniądze, bądź wprost, bądź przez okupowane przez siebie kraje, i kontrolować dalej Europę politycznie; 2) Stany Zjednoczone dałyby dolary, ażeby uzyskać warunki zbytu dla swych towarów i otworzyć złotym kluczem wrota do międzynarodowej wymiany gospodarczej.

Jest to jedna z ostatnich, może ostatnia próba, ze strony wielkich finansów uratowania pokoju, próba gospodarczej penetracji Wschodu przez Zachód. Odbywa się ona z pomocą środków materialistycznych, szczególnie groźnych dla Sowietów. Amerykański kapitalizm

apeluje do żółtaka szerokich mas, podobnie jak to czynił komunizm. W swoim przemówieniu w Harvard zwrócił uwagę na ten moment Marshall, grożąc, że rządy, partie polityczne, bądź grupy, które chcą zerwać na ludzkiej nędzy, ażeby z niej korzystać politycznie, spotkają zdecydowany opór Stanów Zjednoczonych.

Jesteśmy zatem świadkami jednego z największych pojedynków potęg światowych, jakie dotąd gdzieś oglądały.

Co mogła była zrobić Rosja? Albo pójść na międzynarodową współpracę gospodarczą, albo też wciągnąć się jeszcze głębiej, jak ślimak, w skorupę, za granicę, dzielącą Europę na dwie strefy wpływów.

Rosja wybrała rozwiązanie drugie. Widocznie liczy na trudności wewnętrzne w Stanach Zjednoczonych, które mogą obalić inicjatywę Marshalla. Nie zapominajmy bowiem, że w Stanach Zjednoczonych względy polityki wewnętrznej regulują nieraz kierunek polityki zagranicznej. Jak wiadomo zbliżają się wybory Prezydenta. Fakt ten już dziś zaczyna ciążyć na życiu politycznym Ameryki. Gdyby nie troska o wyborców ze związków zawodowych nigdy by Prezydent Truman nie założył weta w sprawie *Labor Bill*, który mimo to stał się prawem i uzyskał większość w Kongresie. Nie wiadomo też, czy Kongres zechce uchwalić w okresie wyborczym nowe obciążenia finansowe.

Kto wie, czy między innymi nie było intencją planu Marshalla przesunięcie terminu wyjaśnienia stanowiska Sowietów z listopada (zapowiedziana konferencja czterech ministrów w Londynie) na czerwiec. W sytuacji przymusowej, ze względu na brak dewiz, znajduje się też W. Brytania i stąd przyspieszanie decyzji Sowietów, na które nalegał min. Bevin.

Dla nas wydarzenia, o których mowa, mają pierwszorzędne znaczenie. W razie, gdyby Sowiety wychyliły się zza kurtyny, sprawa wyzwolenia państwa może się przedłużyć, chociaż mogłyby się otworzyć perspektywy zmian w Polsce w drodze pokojowej. W wypadku drugim, który Rosja wybrała, termin odbudowania niezależnego Państwa Polskiego może się przybliżyć.

Jak winna się zachować w tych warunkach samodzielną polityką polską?

Przeciętny emigrant, pozbawiony własnego gruntu pod nogami, uważa zazwyczaj, że jedyną polityką realną jest ucieczkę się jakiejś kłamki i z zamkniętymi oczami powierzyć losy naszego narodu bądź Rosji, bądź Stanom Zjednoczonym, bądź W. Brytanii, bądź Drugiej Międzynarodówce, która właściwie nie istnieje. Stąd mowa o polityce pro-rosyjskiej. Chciał ją realizować w obecnych warunkach Mikołajczyk i wiemy, jak się to smętnie skończyło. Inni mówią, że trzeba skończyć pro-brytyjską orientację, a zacząć pro-amerykańską. Sytuacja jest bardziej złożona, niż się wydaje. Obok pomyślniej koniunktury międzynarodowej konieczne są nasze własne wysiłki. Nikt za nas niezależnego Państwa Polskiego nie odbuduje.

W sprawie polskiej odgrywają rolę różne czynniki. Jest dużym uproszczeniem, jeżeli się widzi tylko jeden element w polityce światowej. Niewątpliwie w chwili obecnej główną rolę w świecie gra Ameryka i stąd polityka polska musi zwrócić baczniejszą uwagę na Stany Zjednoczone. Ale to nie znaczy, że nie trzeba się liczyć z polityką Wielkiej Brytanii, czy kontynentu z Francją na czele, czy Rosji, która w razie zesłabnięcia może być zmuszona do zmiany polityki wobec Polski i z metody ujarzmiania — wejść na drogę porozumienia. Wreszcie gra Daleki i Bliski Wschód.

To, co się dziś dzieje w Mandżurii, może wywołać konflikt zbrojny między Rosją a Chinami.

Stronnictwo Narodowe nie chce prowadzić ani polityki pro-amerykańskiej (zostawmy to amerykańskiemu mężom stanu, którzy lepiej od nas potrafią to zrobić), ani pro-sowieckiej, ani pro-brytyjskiej. Chcemy i będziemy prowadzić politykę pro-polską, zgodną z naszymi interesami, samodzielną politykę polską. Nie zamierzamy być narzędziem w niczym ręku. Pójdziemy z tymi, którzy nam zapewnią swobodny rozwój na określonym terytorium państwowym. Będziemy pomagając tym, którzy nam pomagają.

Na tym tle ogólnie tylko zarysowanym uderzył w nas duży cios. Odszedł na zawsze ś.p. Prezydent Raczkiewicz, który przez osiem lat reprezentował w ciężkich warunkach Państwo Polskie.

Trzeba było rozstrzygnąć kwestię następcstwa, która się skomplikowała przez wyznaczenie nowego następcy w osobie p. Augusta Zaleskiego aktem z dnia 26 kwietnia 1947 roku, bez uprzedzenia o tym na czas poprzedniego następcy p. Prezesa Tomasza Arciszewskiego, wyznaczonego na następcę aktem wcześniejszym z dnia 7 sierpnia 1944 roku.

Stanęliśmy na gruncie obrony instytucji legalnej Głowy Państwa, nie wyrażaliśmy sympatii osobistych do X czy Y. Zadaniem naszym było uniknąć widma dwu następców, bo to by osłabiało sam urząd, podcinało ideę legalności i ciągłości naszego państwa. Nie wolno też było zwlekać, bo wytworzyłaby się była pustka i wskutek naszej opieczętowania nastąpiłaby z winy polskiej przerwa w ciągłości państwowej. Skoro stanęliśmy na gruncie prawnej ciągłości państwa i co za tym idzie Konstytucji z kwietnia 1935 roku (pomimo, że zasady tej Konstytucji nam nie odpowiadają i że będziemy dążyli do jej zmiany w Kraju), z dwu dokumentów wybrać musieliśmy akt ostatni Prezydenta, który został sporządzony prawidłowo i przekreśla akt, wyznaczający p. Tomasza Arciszewskiego na następcę Prezydenta. Umowa paryska z roku 1939 nie jest, bo nie mogła być, częścią Konstytucji, lecz aktem politycznym, który oczywiście uznajemy i idziemy nawet dalej w ograniczeniu wykonywania artykułu 13-go Konstytucji aniżeli deklaracja paryska. Ta ostatnia bowiem ogranicza wszechwładnego Prezydenta na rzecz wszechwładnego premiera, z czym się nie



godzimy, będąc przeciwnikami wszelkiego rodzaju dyktatur, jako rozwiązań trwałych. Interpretacje Konstytucji są rozmaite i z braku trybunału konstytucyjnego tego rodzaju spory do niczego nas nie doprowadzą. Pewnikiem natomiast jest, że nie można utrzymać legalności stojąc na gruncie umowy paryskiej bez Konstytucji. W tej sytuacji opowiedzieliśmy się za uznaniem aktu z 26 kwietnia 1947 roku z tym, że trwa oświadczenie p. Zaleskiego, które otwierało drogę do zmian personalnych i ratuje legalność urzędu Prezydenta. Nadto zaproponowaliśmy, i to jest warunek bardzo istotny, że nowy Prezydent będzie wykonywał prerogatywy swoje wypływające z artykułu 13-go Konstytucji nie samowolnie, ale razem z Radą przy Prezydencie, którą powołał, ograniczając w ten sposób z własnej woli uprawnienia, jakie mu na mocy Konstytucji przysługują. Tego rodzaju ograniczenie — w warunkach w jakich się znajdujemy — w istocie rzeczy wzmocni stanowisko Prezydenta.

W ten sposób za aktem z kwietnia wypowiedziały się dwa stronnictwa oraz dwaj mandatarjusze p. Prezydenta, gen. Anders i prezes Tomaszewski. P.P.S. obstawała przy kandydaturze poprzedniej. Wobec tego narady zostały zakończone, akt kwietniowy został ogłoszony, a dnia 9 czerwca odbyło się zaprzysiężenie nowego Prezydenta, p. Augusta Zaleskiego. W ten sposób zostało zamknięte formalnie przesilenie państwowe, które się rozpoczęło po śmierci Prezydenta Raczkiewicza. Powołany został również rząd przejściowy z gen. Borem-Komorowskim jako premierem na czele, z dotychczasowym składem ministrów bez pp. Arciszewskiego i Kwapińskiego.

Jak widać, nie poszliśmy wbrew rozsądnym poglądom ani z masonerią, ani z sanacją. Opowiedzieliśmy się, i tego stanowiska będziemy bronili, za legalizmem i utrzymaniem ciągłości samodzielnego Państwa Polskiego.

Z chwilą zaprzysiężenia nowego Prezydenta, kiedy świat dowiedział się kto jest nową Głową Państwa, sprawa została załatwiona. Można się politycznie różnić z Panem Prezydentem na przykład w sprawie składu rządu, ale nie wolno kwestionować legalizmu i podcinać w ten sposób gałęzi, na której wszyscy siedzimy. Nie wierzę, aby Prezes Arciszewski dał się wciągnąć w grę na tej płaszczyźnie. Znając jego długoletnią, pełną oddania służbę w ramach patriotycznego odłamu socjalistów polskich, nie możemy ani na chwilę przyjąć, że Prezes Arciszewski mógłby się sprzeniewierzyć swojej dotychczasowej przeszłości.

Legalizm może znowu zacząć znaczyć w stosunkach międzynarodowych. Z bardzo cennego symbolu może nabrać wartości praktycznej. I dlatego taką wagę przywiązujemy do instytucji legalizmu, a nie do osób.

Na tle przesilenia państwowego doszło na gruncie londyńskim do niezbyt szczęśliwych pociągnięć, które znalazły wyraz w prasie i na konwentyklach partyjnych. Zaczął się niesamowity ruch, na kształt burzy w szklance wody. Zjawili się kandydaci na ministrów, którzy gotowi byli się poświęcić dla ojczyzny, a u niektórych ofiarność szła tak daleko, że gotowi byli nawet zostać premierami. W prasie zaczęły się ukazywać niemal codziennie oświadczenia, odwołania, sprostowania, komunikaty, raz "porozumienia demokratyczne", to znów "koncentracji demokratycznej" mówiono też o "konfederacji". Raz podpisywali jedni, drugi raz inni, jedni pod oświadczeniami łącznie, drudzy obok odrębnie.

Doszło do tego, że organizacje, które zwalczały namiętnie partie, teraz przyjaźnie się uśmiechały, kiedy je nazywano partiami, a

niemał wpaadały w zachwyty, kiedy je tytułowano stronnictwami. Nie braliśmy udziału w całej tej krzątaninie.

Wreszcie ukazała się deklaracja t.zw. "koncentracji demokratycznej". Nie bardzo dobrze wiemy po co powstała owa "koncentracja". Wiadomo, że demokracja jest zagrożona w Kraju. Czyżby w Londynie, na wolnej ziemi angielskiej, w okresie panowania socjalistów trzeba było nagle powoływać koncentrację dla obrony demokracji?

A może chodzi w tym wypadku nie o obronę demokracji, ale o t. zw. zwrot na lewo w świecie, o którym tyle mówiono po wojnie. Nie możemy się dopatrzyć owego zwrotu nigdzie poza krajami, znajdującymi się pod panowaniem sowieckim. Ale o dostosowywanie się do takiego zwrotu na lewo na pewno autorom deklaracji nie chodziło. W zachodniej Europie doszło ostatnio do zerwania z komunistami, powstały rządy bardziej na prawo. W Wielkiej Brytanii na kongresie *Labour Party* w Margate domniawo prawie skrzydło angielskich socjalistów. W Stanach Zjednoczonych po zwycięstwie wyborczym republikanów nikt nie powie, że kraj ten idzie w kierunku marksistowsko-lewicowym. A zresztą co nam z tego, że w Wielkiej Brytanii sprawują rządy socjaliści. W związku z aresztowaniami wybitnych przywódców socjalistycznych w Kraju minister Bevin, odpowiadając na interpelację jednego z posłów, oświadczył, że ubolewa nad tym, ale praktycznie nie zdziałał w tej materii nie może i nie zamierza. Boję się, że kiedy w Wielkiej Brytanii zwyciężyła *Labour Party* niektórym naszym socjalistom wydawało się, iż to oni zwyciężyli. Nie potrzebują dodawać, że to dwie całkiem różne rzeczy.

Uważamy, że powstanie t. zw. "koncentracji demokratycznej" wbija klin w społeczeństwo polskie, dzieli a nie łączy i w rezultacie wychodzi na korzyść wrogów niezależnego Państwa Polskiego.

Przechodząc do analizy ogłoszonej deklaracji można by ją krótko tak scharakteryzować: to co w niej dobre, jest stare, to co nowe — nie jest dobre.

Zaczynam od rzeczy starych, dawno już sformułowanych, i to o wiele lepiej aniżeli w deklaracji.

W dziedzinie społeczno-gospodarczej o wiele radykalniejszy program zarysowała podpisana przez nasze stronnictwo uchwała czwórporkowa z sierpnia 1943 r. Godzimy się, że nie ma powrotu do stosunków politycznych i społecznych sprzed września 1939 roku. Łudzą się jednak ci, którzy sądzą, że utrzyma się w całości to, co wprowadził reżim marksistowsko-komunistyczny. Nie wystarczy zmienić ludzi rządzących w Polsce. Nie wystarczy poprawki do ustroju komunistycznego. Na miejsce ustroju kapitalistycznego, który w Polsce zniknął, na miejsce ustroju komunistycznego, który zniknie, trzeba zbudować nowy ustrój społeczno-gospodarczy różny od jednego i od drugiego. Chłop i robotnik polski, którzy na własnej skórze odczuli ustrój komunistyczny, wyrwą z korzeniami system, jaki im siłą narzucono, jaki nie odpowiada ich psychice i temu procesowi unarodowienia, który polskie masy pracujące przeszły podczas obydwu okupacji. Z niewolnika wielkiego kapitału lub państwa, z najemnika pozabawionego własnego kąta, skoszarowanego, wyzyskiwanego, jak za dawnych pańszczyźnianych czasów, trzeba stworzyć pełnoprawnego gospodarza na roli, w warsztacie rzemieślniczym, czy przemysłowym. Trzeba o wiele śmielszych reform, żeby dorównać tym głębokim zmianom, jakie zaszły w Polsce. Znikły różnice

klasowe, pozostał rozdział pomiędzy światem pracy i obecną komunistyczną biurokracją państwową. To też jesteśmy na przykład za unarodowieniem pewnych kluczowych gałęzi przemysłu, a przeciw upaństwowieniu życia gospodarczego, upaństwowieniu, które zabija inicjatywę prywatną i zamienia samodzielnych pracowników w bezduszne kółka maszyn państwowej.

A teraz przejdźmy do nowości, jakie znaleźliśmy w deklaracji.

Nową rzeczą jest zakwestionowanie naszej granicy ryskiej w następującym sformułowaniu: "Polska ma być cała, t.zn. w granicach określonych na wschodzie traktatem ryskim, *dopóki i o ile* swobodnie wybrane przedstawicielstwo Państwa Polskiego nie postanowi innego rozwiązania tego problemu w przyjaznym porozumieniu z narodami zamieszkującymi ziemie wschodnie Rzeczypospolitej".

Po raz pierwszy na naszym gruncie ukazuje się oświadczenie, podpisane przez polskie ugrupowania polityczne, które wprowadza do jasnego sformułowania granicy ryskiej nowe, nieznane nam dotąd słowa "*dopóki i o ile*". Trudno dociec, dlaczego teraz właśnie zaopatrzyli panowie z t.zw. "koncentracji" wyraźne dotychczasowe sformułowanie naszej granicy wschodniej w kwestionując ją dodatki. Uważamy wystąpienie to za ciężki błąd i nie rozumiemy, dlaczego osłabia się dziś właśnie prawo Państwa Polskiego do ziem wschodnich. Komu to wyjdzie na pożytek?

Równocześnie niemal ukazał się zeszyt paryskiego pisma socjalistycznego *Swiatlo*, gdzie znów wypowiedziano się w głosach dyskusyjnych zarówno przeciw granicy wschodniej z roku 1939, jak i przeciw pójściu na zachód po Odrę i Nisę Łużycką. W imię ścisłości dodaję, że ze stanowiskiem zajęтым w *Swietle*, redagowanym przez posła Zygmunta Zarembe, nie solidaryzuje się Komitet Zagraniczny P.P.S. Niemniej głosy dyskusyjne socjalistów paryskich są bardzo znamienne i nie wolno ich pominąć milczeniem. Zaslaniając się tym, że są to głosy dyskusyjne, nie wiele pomagają. Uważamy, że pewnych spraw, a do takich należy terytorium Państwa Polskiego, dyskutować lekkomyślnie nie wolno. Gdybyśmy poszli za głosami szczególnego nabożeństwa *Swiatla* mielibyśmy na zachodzie oskrzydlenie z północy i południa, podobnie jak jesteśmy już dziś oskrzydleni na wschodzie od strony Prus Wschodnich i Rusi Podkarpackiej. Czyż można poważnie mówić o samodzielnosci Państwa Polskiego na terytorium w ten sposób projektowanym?

Wracając do deklaracji nie rozumiemy ustępu o "niedobitkach reżimu sanacyjnego". Wygląda to trochę na metodę "łapaj sanatora" żeby odwrócić uwagę od sanatorów, którzy zasiadają w t.zw. "koncentracji demokratycznej". Uważamy natomiast, że należy się wystrzeżać metod sanacyjnych. Pod tym względem autorzy deklaracji wykazują mniej gorliwości. Pod deklaracją podpisane jest rozłamowe Stronnictwo Pracy. Jesteśmy zdecydowanymi przeciwnikami zachwaszczania naszego życia politycznego przez panów, którzy znalazłszy się w mniejszości w swoim Komitecie zagranicznym, występują później jako Stronnictwo Pracy. Nie demokratyczna to metoda. Jak można żądać ładu w świecie, jeżeli się nie pilnuje porządku i ładu we własnym życiu politycznym. Robienie rozłamów w stronnictwach podważa instytucję stronnictw (może o to właśnie pewnym czynnikiem chodzi) i jest typową metodą sanacyjną, którą zastosowano w sposób udoskonalony w Kraju w stosunku zarówno do



PSL jak i PPS, jak wreszcie Stronnictwa Demokratycznego. Nie należy przenosić złych obyczajów z Kraju na emigrację, gdzie i tak już wiele niewłaściwych zjawisk się krzewi. Odpowiedzialność za wprowadzenie grup rozłamowych do życia politycznego, ażeby zwiększyć ilość podpisów pod deklaracją, spada nie tylko na tych, którzy się wylamali, ale i na tych, którzy tolerują tego rodzaju metody. Pod deklaracją nie ma podpisu Stronnictwa Ludowego "Wolność". Wolno się domyślać, że od podpisania deklaracji powstrzymało ludowców zarówno sformułowanie granicy wschodniej, jak i podpisy rozłamowców. Podkreślając z zadowoleniem ten fakt, zapytujemy równocześnie, po co w takim razie Stronnictwo Ludowe "Wolność" bierze udział w pracach t.zw. "koncentracji demokratycznej".

Kończąc nasze rozważania na temat "koncentracji demokratycznej" stwierdzamy, że wolelibyśmy, aby było mniej partii demokratycznych, a więcej demokratów, ażeby mniej szumnie mówiono o demokracji, a postępowano w życiu zgodnie z jej zasadami.

My ze swej strony wzywamy do skupienia się nie tyle dokoła partii, ile dokoła fundamentalnych zasad polityki polskiej t.j. dokoła legalizmu i ciągłości państwowej, oraz dokoła kierunku polityki, który doprowadzi do odbudowania państwa na określonym terytorium, zdolnego do samodzielnego życia w przyjaznym związku z sąsiednimi narodami. Trzeba mieć jakieś stałe punkty oparcia i nie zmieniać podstaw prawnych i polityki zależnie od chwilowych potrzeb taktycznych. Ponad taktykę wysuwamy zasady. Uszanowanie legalizmu jest pierwszym obowiązkiem. Dbamy o zgodę, łączyć chcemy wszystkie klasy i wszystkie stany wokół naczelnego celu, ale jedność nie jest celem samym w sobie, jeno środkiem do celu. Jeżeli różnice nie są istotne, nie sięgają głębiej, da się je wyrównać. Wierzmy, że zwycięży zdrowy rozum i zrobimy wszystko co w naszej mocy, aby rozłamu w emigracji nie było. Jeżeli się ktoś uprze, nie poradzimy na to. Odrzucamy teorię, że wszyscy są winni. Odpowiadając za cudze grzechy nie mamy zamiaru. A zatem jedność w imię określonych celów i zasad.

Jeżeli by zaś zaczęła się rysować nowa orientacja polityczna, coś w rodzaju polityki Mikołajczyka uprawianej w Londynie i Paryżu po dwu latach doświadczeń, po bankructwie całkowitym tej polityki, to powiadamy: nie, nie ma zgody! Wtedy trzeba przyspieszyć rozejście się, żeby nie było rozkładu od wewnątrz. Rozejdziemy się w takiej sytuacji bez żalu.

Jeżeli tak unormujemy sprawy centralne, nie będziemy mieszać polityki do organizacji społeczno-samopomocowych, a metod mechanicznych do polityki, jeżeli organizacje społeczne będą dbały o rzesze swych członków, pomagały naprawdę potrzebującym, a nie mnożyły biurokracji w organizacjach społecznych, jeżeli zgodne działanie w sprawach głównych będziemy traktować nie odświętnie ale na codzień, jeżeli wreszcie skupimy się na rzeczach najważniejszych, a odrzucimy drobiazgi, jeżeli w oparciu o zasady wiary naszej katolickiej nie damy się wykołocić moralnie i naród nasz uratujemy od zagłady i niewoli — zwyciężymy!

Do takiego wszechstronnego wysiłku własnego na tle walki, jaka się toczy w świecie, wzywamy Polaków na uchodźstwie.

Znajdziemy wtedy sens istnienia naszego na emigracji i spełnimy pożyteczną robotę dla Polski.

M. E. ROJEK

## O SZEROKI FRONT OPORU PRZECIW NIEBEZPIECZEŃSTWU KOMUNISTYCZNEMU\*

**W**ALKA w dzisiejszym świecie toczy się już nie tylko o rynki zbytu, ani nawet o to, czy ludzie będą mieli co jeść, w co się ubrać i gdzie mieszkać, ale — i może przede wszystkim — o to, czy wolno im jeszcze samodzielnie i bez nakazu z góry myśleć i swoje poglądy wyrażać. Dziś przede wszystkim o te poglądy chodzi. W związku z przebiegiem jednej z licznych konferencji międzynarodowych w Londynie współpracownik dyplomatyczny *The Times* zauważył był że zdziwieniem, że dyskusje międzynarodowe stają się coraz mniej dyplomatyczne, a coraz bardziej filozoficzne. Niejedno pojęcie, dotąd jednoznaczne, w naszych czasach staje się dwuznaczne i dla każdej z dwu stron, na które świat został podzielony, oznacza co innego. Wedle dotychczasowego zdrowego rozsądku Polska np. została oprowadzona przez Związek Sowiecki, wedle dialektyki komunistycznej jednak to właśnie Związek Sowiecki broni niepodległości Polski przed imperializmem . . . amerykańskim. Niestety, można znaleźć nawet na emigracji Polaków, którzy, nie poddając się bynajmniej komunistom, obawiają się przede wszystkim imperializmu amerykańskiego i przed nim opinię publiczną ostrzegają.

Tymczasem istotną cechą obecnego położenia światowego jest niebezpieczeństwo komunistyczne, zagrażające nie tylko Polsce, ale całemu światu. Nie jest to wprawdzie żadna rewelacja dla Polaków, Prezydent Truman jednak zauważył to oficjalnie dopiero od 12 marca 1947, a min. Bevin dopiero w czerwcu tegoż roku oświadczył w trybie warunkowym, że gdyby doszło do wojny ideologicznej między komunizmem a światem zachodnim wierzy on w zwycięstwo idei wolności nad tyranią.

Ta wojna toczy się jednak już od dawna i to nie w trybie warunkowym, ale w rzeczywistości politycznej, ekonomicznej i społecznej świata. Przede wszystkim jednak toczy się ona w sferze idei i pojęć i jeśli tu zostanie przegrana pociągnie za sobą klęskę i w polityce i ekonomii. Nie dostrzegają tego nie tylko przedstawiciele narodów Zachodu, ale i niektórzy politycy polscy. Mam na myśli przede wszystkim tych, którym się wydaje, że wystarczy nałożyć inną czapkę polityczną na instytucje komunistyczne narzucane obecnie Polsce i problem już będzie przez to rozwiązany. Są i tacy, którzy podchwytyją komunistyczne hasło permanentnej rewolucji i przyjmują je za swoje, nie zdając sobie sprawy, że niszczenie tkanek społeczeństwa rozwijających się w sposób naturalny i wprowadzanie na to miejsce metod inżynierii społecznej musi zniszczyć ustrój wolnościowy i przyczynić się tym samym do zwycięstwa komunizmu, choćby wbrew zamiarom tych permanentnych rewolucjonistów.

Jeden z wybitnych polityków europejskich powiada przy każdej sposobności, że nie widzi powodu, dla którego świat komunistyczny i zachodni nie miałyby żyć w pokoju obok siebie i prowadzić korzystnej wymiany dóbr ekonomicznych. Nie mam zamiaru porównywać się z tym wybitnym

politykiem, ale — wydaje mi się, że ten powód widzę. Celem bowiem komunizmu, wedle głoszonych otwarcie przez komunistów haseł, jest zniszczenie wszystkiego co nie jest komunistyczne. A jeżeli tak, to gdyby doszło do zgodnego współżycia ze światem zachodnim, komunizm nie byłby już komunizmem i wtedy nie byłoby problemu współżycia dwu tak różnych systemów. Nie jest to bynajmniej tylko gra słów, ale przeciwnie — wyraźne określenie istoty zagadnienia.

I dlatego skoro jedna polityczna grupa polska z Mikołajczykiem na czele posłała na współpracę z komunistami, musiała w tej współpracy dojść do dzisiejszych swoich wyników. Doktryna komunistyczna bowiem nie polega wyłącznie na materialistycznym pojmowaniu świata. Mamy przecież w cywilizacji zachodniej także wyznawców materializmu, którzy nie stają się przez to jeszcze bynajmniej komunistami. Dopiero druga teza komunizmu, integralnie zresztą złączona z pierwszą, nadaje mu jego właściwy charakter. Teza ta głosi, że wszystkie problemy życia rozstrzyga wyłącznie walka; że w walce tej zawsze jeden z przeciwników musi być zniszczony i unicestwiony i że w dążeniu do tego celu komuniści mogą posługiwać się wszystkimi sposobami, a więc nie tylko metodami przemocy i gwałtu, ale i podstępem, objawiającym się najczęściej w ten sposób, że się przyszłej ofierze ofiaruje na jakiś czas sojusz i współpracę i korzysta z tej pomocy w walce z innym, odosobnionym w ten sposób przeciwnikiem, nim się przystąpi do zadania również ciosu chwilowemu sojusznikowi.

Ludzie Zachodu, a więc i Polacy, ulegają dość łatwo tej taktyce. Jest to taktyka dzielenia i różnienia kandydatów na rzeź, oraz czasowe sprzymierzanie się z jednymi przeciw drugim. Jednym z najczęstszych manewrów używanych w tej taktyce jest dzielenie społeczeństwa typu zachodniego, a więc społeczeństwa z natury rzeczy różnicowanego, od wewnątrz, na demokratów i reakcjonistów lub faszystów, i koncentrowanie sił niektórych grup demokratycznych na walce z jedną z nich, odosobnioną, by z kolei przystąpić do likwidacji najbliższej, a potem następnej, i t.d. Manewr ten znany jest jako koncepcja frontu antyfaszystowskiego i przyjmowany przez niektórych naiwnych demokratów za dobrą monetę.

I dlatego ci wszyscy, którym komunizm zagraża zniszczeniem i śmiercią, a więc wszyscy, którzy żyć pragną w atmosferze wolności zagwarantowanej instytucjami społecznymi, obliczonymi na pokojowe zarządanie istniejącym i ciągle w życiu powstającym brakiem i niedomaganiom, — nie powinni pozwolić się rozbić, lecz wprost przeciwnie, winni się skupić do wspólnie prowadzonej walki o życie i przeżycie cywilizacji zachodniej, cywilizacji wolnego człowieka.

I dlatego całe społeczeństwo zachodnie bez względu na wewnętrzne podziały odrzucić winno nawet kategorie myślowe dzielenia jednostek i grup ludzkich wedle koncepcji komunistycznej. Nie dawo pewien lewicowy działacz polski zagadnął mnie obcesowo: "Ostatecznie jednak, czy jest Pan po stronie kapitalizmu czy komunizmu?" Odpowiedziałem mu na to, że odrzucam to marksistowskie kryterium podziału, gdyż jego przyjęcie jest zarazem odsłonięciem się na ciosy komuni-

\* Z przemówienia wygłoszonego na publicznym zebraniu Stronnictwa Narodowego w Londynie, w Westminster Cathedral Hall, w dniu 3 lipca 1947 r.



styczne. Nie jest prawdą, jakoby zasadniczą cechą naszego typu społeczeństwa był kapitalizm, nawet w dziedzinie wyłącznie ekonomicznej. A ponad to odrzucając tezę, jakoby człowiek żył wyłącznie życiem ekonomicznym, jakoby żył tylko chlebem a nie także Słowem Bożym, jakoby był zwierzęciem wyższego rzędu, kierującym się wyłącznie potrzebami materialnymi. A wreszcie, tak się zarazem składa na tym świecie, że w społeczeństwie, z którego wypędzono Słowo Boże, brak także zazwyczaj chleba.

Walka toczy się więc nie między komunizmem a kapitalizmem, z którego ujemnymi objawami sami walczyć potrafimy bez pomocy komunistów, ale między społeczeństwem otwartym, w którym obowiązują godność ludzka, wolność w granicach praw i równość szans życiowych przy równoczesnym dążeniu do zabezpieczenia wszystkim pewnych minimalnych wymogów przyzwoitego życia, — a społeczeństwem zamkniętym, niewolniczym, kierowanym przez bezwzględny związek ludzi żądnych władzy i operujących w tym celu doktryną społecznej niewoli, przebranej bezczelnie zaiste w maskę postępu urzędzeń ludzkich i demokracji.

Wobec takiego stanu rzeczy ci spośród nas, którzy mechanicznie dzielą i politycznie rozbijają społeczeństwo, niezależnie od swoich intencji pomagają komunistom, a zarazem sobie samym kręcąc powrót na szyję. Skoro głównym zabiegiem komunistycznej inżynierii społecznej jest rozbijanie społeczeństwa, to odpowiedzialną grupą i jednostek zdających sobie sprawę z istoty położenia musi być dążenie ku jedności — przy wzajemnej tolerancji nie tylko dla osób, lecz i dla uciążliwych i w dobrej wierze wyznawanych poglądów.

Nic mają w społeczeństwie naszym racji i nie zwyciężą komunizmu ludzie, którzy krzyczą: "w lewo, w lewo i tylko w lewo!" Bo jeśli ktoś będzie ustawicznie maszerował w lewo, to nie tylko wróci wkrótce w to samo miejsce, skąd wyszedł, ale nawet może się cofnąć. Właśnie dlatego komuniści nie oderwali się od carskich metod knuta i więzienia, że stale maszerują w lewo . . . i drepcą w miejscu.

Trzeba wyzwolić się z hipnozy sloganów komunistycznych, zrozumieć co w tej chwili jest najważniejsze i wysnuć stąd konsekwencje w działaniu. Wyzbyć się trzeba oderwanych od życia nałogów myślowych, jak np. słynne hasło chwicznej demokracji francuskiej: *pas d'ennemi a gauche*: nie ma nieprzyjaciela na lewicy; nie może być nieprzyjaciela na lewicy! Owszem, może być i jest obecnie nieprzyjaciela na skrajnej lewicy, jeśli niebezpieczeństwo komunizmu umiejscowić zechcemy zgodnie z konwencjonalnymi zresztą terminami "lewica" i "prawica".

Na komunistyczny front antyfaszystowski, który np. w Hiszpanii obejmować winien, wedle Passionarii, również konserwatystów i monarchistów, pod przywództwem naturalnie komunistycznym, — odpowiedzieć trzeba frontem antykomunistycznym wszystkich sił demokratycznych.

Demokratycznych, z czego wniosek, że bez faszystów. A bez faszystów dlatego, że faszyzm nie jest siłą polityczną tak długi, dopóki demokracja jest koncepcją żywą, przez żywych ludzi wyznawaną, popieraną i bronią. W szczególności demokracja jest siłą żywą wtedy, kiedy walczy z komunizmem, jako z niebezpieczeństwem totalizmu zagrażającego przyrodzonej zasadzie wolności człowieka. Faszyzm zjawia się zwykle wtedy dopiero, kiedy demokracja nie rozwiązuje już wielkich zagadnień politycznych, kiedy staje bezradna wobec naporu komunizmu, kiedy się rozkłada. Faszyzm jest produktem rozkładu

WIKTOR TROŚCIANKO

## FRAGMENTY

**DYREKTOR** Departamentu Informacji coraz częściej spoglądał na zegarek. Jakoś niewyraźnie i nerwowo zerkał na wskazówki, odmierzające czas popołudnia 1 sierpnia 1944 roku. Radziliśmy nad sprawą ważną i poważną; nerwowość dyrektora Dep. Informacji, człowieka najlepiej poinformowanego z Podziemnego Rządu Polski — nerwowość ta powtarzałam — była w zupełnej niezgodzie z tematem obrad. Reprezentowaliśmy cztery stronnictwa, stanowiące w Kraju zaplecze polityczne wysiłku wojennego. Razem z Dyrektorem i kilkoma urzędnikami stanowiliśmy coś w rodzaju Krajowego Syndykatu Dziennikarzy, kierowaliśmy bowiem, każdy w swoim zakresie, polską prasą polityczną pod okupacją niemiecką. Poza nawiasem polityki polskiej była tylko prasa — obustronnie gazdinowa: niemiecka w języku polskim i sowiecka w tymże języku, a w formie konspiracyjnej.

Z uczestnikami dzisiejszego zebrania spotkałem się zresztą po raz pierwszy. Dopiero niedawno władze centralne delegowały mnie do tej "informacyjnej czwórki", do czego w ciągu ostatnich lat bynajmniej nie tęskniłem. Obecność w przeróżnych ciałach zbiorowych kończyła się w wielu wypadkach najfatalniej w świecie. Przyglądaliśmy się sobie nawzajem z ukrywanym zaciekawieniem. Dobrych parę lat obserwacja ta była wyłącznie "analityczna": w świetle karbidowych przeglądaliśmy sterty gazet podziemnych naszych partnerów i kontrpartnerów, śledząc się uważnie w wystąpieniach zasadniczych. Dzisiaj po raz pierwszy przyglądaliśmy się "oryginalnym wydaniom". Wiadomo było tylko, że pan Marcin z PPS nosi brodę. Więcej mi jednak powiedziały pisma WRN-u przez ostatnie dwa lata niż przyjemność tego ostatniego stwierdzenia. Przedstawiciel Stronnictwa Ludowego niczym się nie zaznaczał. Pod tym względem był w całkowitej zgodzie z wrażeniem, jakie przez dłuższy czas towarzyszyło prasie ludowców. W żadnym razie nie można było jego postaci polączyć z namiętą akcją ostatnich przeobrażeń w tym ruchu politycznym idącym wyraźnie po drodze zacerzawiania Kraju i może bardziej niż ktokolwiek, poza komunistami, propagującym jednocześnie rewolucji społecznej z momentem odzyskania niepodległości. Ponieważ wzory na wszelkie rewolucje zostały opracowane i trzeba było wybierać między kilku obcymi regulaminami — wybór

demokracji. Dopóki demokracja jest zdrowa i nie kładzie głowy pod komunistyczną gilotynę, lecz walczy o swoje istnienie; dopóki społeczeństwo zdąży szerokim frontem naprzód, nie kręcąc się w kółko ani w lewo ani w prawo, — tak długo nie ma zagadnienia faszyzmu. Odpierając niebezpieczeństwo, zapobiegamy zarazem niebezpieczeństwu faszyzmu.

Krótko więc: na komunistyczną metodę rozbijania społeczeństw od wewnątrz narody zachodnie i wszystkie ich ruchy i stronnictwa polityczne odpowiedzieć powinny odszukaniem tego wszystkiego co im jest wspólne, oparciem się na tej wspólnej podstawie i podjęciem walki z komunizmem na całym szerokim i zjednoczonym froncie ogólnonarodowym, ogólnospołecznym, ogólnoeuropejskim i światowym.

M. E. ROJEK

prasy ludowców w ostatnim półroczu wyraźnie szedł po linii obywateli. Wycecha; łączyło się z tym propagowanie hasel klasowych, i to rewolucyjno-klasowych, z "likwidacją obszarników", klerykałów i t.d. W prowincjonalnych wystąpieniach organizacji krajowej p. Mikołajczyka była nawet "krew po łokcie".

Coś się właśnie zmieniło w ostatnim półroczu r.1944. Radykalizm niepolskiego chowu zaczął wysuwać się coraz mniej dyskretnie z t.zw. mroku konspiracyjnego. Postępująca ofensywa sowiecka wyzwalała tęsknoty jak najbardziej obce interesom narodu polskiego i jego warstw pracujących. Na podziemny rząd polski i organizację wojskową idą nieustannie naciski przybrania koloru ochronnego. Inaczej — mówiono — spalimy się w ogniu sowieckiej czerwieni. Obserwacja tego okresu polityki polskiej po raz pierwszy każe poważnie się zatroskać o zmysł realistyczny Polaków. Przez długie lata wojny, w nadludzkim wysiłku potrafili uzgodnić rozbieżne interesy ideologiczne i podporządkować je naczelnemu postulatowi odbudowania wolnego państwa. W momencie końcowym — decydującym — zjawia się na widowni tania demagogia pseudoideologiczna. Trzeba było dopiero historii paru lat następnych, przygotowywanej Jałty, Poczdamu i całej polityki odwrotu od hasel wolności ze strony sprzymierzeńców, żeby zrozumieć pochodzenie wszelkiego rodzaju nacisków na rozbięcie postawy tak zadróżonej strzeżonej, tak ofiarnej i kosztownej w swej ofiarności. Pod naporem sugestii spoza granic Polski — sugestii dwukierunkowych: wschodnich i zachodnich, — rozpoczęła się mania programowości, deklaracji i oświadczeń. Do chóru rewolucyjnego przyłączyła się wreszcie i PPS, przez całą wojnę konsekwentna w rozejmie wewnętrzno-politycznym. Na posiedzeniach Rady Jedności Narodowej targowano się zawzięcie o papierowe postulaty reformistyczne, o wywłaszczenie bez odszkodowania, taki czy inny rozmiar nacjonalizacji, wielkość samowystarczalnych gospodarstw i t.d. Obserwator postronny godał nawet wrzaskać taką postawą. Ci walczący Polacy mają nie tylko czas na walkę, ale i na dyskusję przyszłych form ustrojowych. I to dyskusję z autorytatywnym: aut — aut. Albo uchwalicie nasze programy, albo koniec porozumienia. Dla postronnego obserwatora — powiadam, — owszem, może by to i było wrzuszające, dla obserwatora współżyjącego z tymi zjawiskami były one nieraz wręcz maniackie. Noc terroru rozszalała się z nową potwornością. Masowe egzekucje, likwidacja elementu polskiego na Wołyniu przez obie strony, sowiecką i niemiecką (rękami ukraińskimi), sytuacja międzynarodowa w najwyższym stopniu zatrważająca; postęp ofensywy sowieckiej z groźnym, wrogim programem wobec Polski, jej państwowości i nawet żywych sił biologicznych.

\*

Konferencja dzisiejsza, pierwszego sierpnia 1944 — miała przebieg spokojny. Wiedzieliśmy tyle o sobie, że gdyby nawet zdarzyła się okazja dyskusji "zasadniczych" szkoda byłoby na to czasu. Tematem obrad miał być moment wyjścia z podziemi w związku ze spodziewanym w najbliższym czasie opuszczeniem stolicy przez Niemców. Po wejściu armii sowieckiej miały się ujawnić partie polityczne, organy prasowe, administracja państwowa, wojsko — cała Polska. Nie mam danych na to, żeby stwierdzić z jakim uczuciem i w jakim zakresie ta akcja ujawnienia miała nastąpić



WITOLD NOWOSAD

## BIAŁY KWIAT

A kiedy kwitną kasztany,  
Radują się poeci . . .  
W liściach rozkołysanych  
Słońce jak wolność świeci . . .

Kwiat biały jak wiersz dziecinny,  
Buki czerwone miłością  
Bzy są milczące i słabe,  
— Poeto, zielony twój kościół  
I Bóg cię słyszy.  
Rytmicznie . . .  
Niechaj przenośnia zakwitnie  
Biało, jak kasztan nad stawem . . .

Był człowiek samotny jak gwiazdy,  
A piękność świata w nim drgała —  
Mówiący obrazem i pieśnią  
Nie znał własnego ciała . . .

A kiedy spłonął na wojnie  
I zmienił się w metaforę,  
Drzewa szumiały dostojnie  
I kościół zielony dzwonił. —  
Została miłość nieznaną:  
Białe kwiaty kasztana  
Nad głową znikającą  
W rytmie zielonych gwiazd . . .

Ale nad nami, o bracia!  
Poeci kwiatów i drzew,  
Szumią jeszcze przenośnie  
I pachnie kwiecisty śpiew . . .

Słowa nasze dochodzą  
Do Boga lekkich kwiatów . . .  
Spokój splywa jak blask  
Przeszedł zwolna po drodze . . .

Fontenay sous Bois, 1947.

WITOLD NOWOSAD

jeśli chodzi o poszczególne ruchy polityczne. Radziliśmy nad prasą. Podawaliśmy dyrektorowi Dep. Informacji tytuły dzienników politycznych każdego z reprezentowanych stronnictw.

Częste spoglądanie na zegarek psuło trochę ten konferencyjny nastrój.

— Proszę panów, — powiedział wreszcie p. Dyrektor — zdaje mi się, że coś ma się dziś zacząć o czwartej. Mamy bardzo niewiele czasu. Będę zmuszony zakończyć konferencję, żeby dać panom czas na dojście do domu.

— Co to jest to "coś" — powstanie?

— Nie wiem. Nie jestem pewien. Podobno jednak coś na większą skalę.

Od kilku dni wiadomo było, że w Komendzie Głównej A.K. toczy się zacięty spór na temat konieczności powstania; coraz rzadziej mówi się o planie "Burza" w odniesieniu do Warszawy, choć plan ten pod względem wojskowym dał dobre rezultaty na terenach wschodniej Polski. Tutaj, w Warszawie, w centrum "natchnienia świata", musi się odbyć inaczej. Trzeba zmanifestować polską wolę do niepodległości, jakby za mało było manifestacji od 1 września 1939 roku. Tu musi być — na skalę stolicy natchnienia. Rada Jedności Narodowej interpeluje wicepremiera na Kraj na temat sytuacji politycznej. Jest bez

zmian. W dalszym ciągu nie ma porozumienia z Sowietami, a raczej z ich strony cienia dobrej woli porozumienia. Wniosek stąd prosty: zaplecze polityczne nie istnieje. Z kół wojskowych wiadomości także nie różowe. I to bardzo. Odbywa się na odcinku warszawskim akcja przegrupowania sił niemieckich. Podciągane są dywizje pancerne. Przez Warszawę w odwrocie odchodzą smutne resztki rozbitych dywizji i likwidowanej administracji okupacyjnej. Wygląda to bardzo malowniczo. Wozy, bety — tylko brać za kije i pędzić!

A nocami, pocichu, bez demonstracji, omijając miasto podciągają przegrupowane i uzupełnione dywizje pancerne z pełnymi stanami, ze świeżym sprzętem.

Gubernator warszawski próbuje zwykłych niemieckich chwytów, choć robi to z zupełnie inną miną. Zarządzenie o zgłoszeniu się mężczyźni jest blade, pozbawione dotychczasowej pewności siebie, nawiązujące do "cudu nad Wisłą". Rezultat zarządzenia — kilkunastu na punktach zbiórki.

Z Lublina idą nieustannie wezwania do "czynu", do porzucenia postawy wyczekiwania. Takiego hurrapatriotyzmu nie wymyśliłby żaden komitet małomiasteczkowy. Przypomina się agitacja sowiecka przed wrześniem 1939, słynne "Hitler nie leż w koridor". Tuż, obok — krzyczy Lublin — jest zwycięska i wyciągająca rękę z pomocą armia radziecka. Po dwóch miesiącach okazało się, że rezultat nawoływań ten sam co we wrześniu 1939. O tyle tylko bardziej tragiczny, o ile "patriotyzm" Patriotów Polskich z Moskwy jest bardziej cyniczny w kpinach z pojęcia patriotyzmu.

Oficerowie z A.K. i ludzie odpowiedzialni za resorty informacji podają z dnia na dzień sprzeczne wiadomości. Jedni, stykający się bezpośrednio z problemem operacyjnym, mający w ręku ostatnie raporty, znający stanowisko polityczne zarówno sprzymierzeńców zachodnich jak i prawdziwe intencje sowieckiej propagandy, — robią wszystko co mogą, żeby powstrzymać wybuch powstania w warunkach nieuniknionej zetknięcia się z uzbrojonymi siłami doskonale uzbrojonych dywizji niemieckich. Nastroj "powstania" atmosfera czynu, młodości, zmęczenia zdyscyplinowaną konspiracją — to drugi czynnik do wykorzystania. Pilno jest do wolności.

Nie ma wprost siły dzisiaj, po tym co się widziało i przeżyło, mówić z lekceważeniem o tych oddziałach, z których każdy — w warunkach normalnego wojska — byłby najpiękniejszym zespołem bojowym. Pogarda śmierci, solidarność w niebezpieczeństwie, pomoc, dzielenie się każdym kęsem chleba, rycerski stosunek do jeńców, do wroga, który na rycerskość wcale nie zasługiwał, — to obraz niezapomniany, godny rapsodu. Ale wojna nie jest, wbrew opinii, sprawą tylko żołnierza. Wojnę prowadzą zespoły ludzi, reprezentujące całość zjawisk życiowych, koniecznych do jej wygrania. Odpowiedzialny zespół polityki polskiej w Londynie z p. Mikołajczykiem na czele pozostawił kwestię powstania otwartą. Umył ręce w stadium najważniejszym — decyzji. Gdyby się udało, przyznałby się do ojcstwa, ponieważ nastąpiła klęska, więc . . .

Codziennie spotykam Tadeusza\*). Pytam go o sytuację. Tadeusz jest wiceprzewodniczącym Rady Jedności Narodowej i stałym uczestnikiem jej posiedzeń. Tadeusz twierdzi, że pewnie powstania nie będzie. Zespół polityczny Kraju, Rada Jedności Narodowej — jest przeciwna. Pozory jednak zapowiadają co innego. Ostentacyjnie młodzi ludzie wędrują z plecakami i kocami z dzielnic do dzielnic, na kwaterach odbywa się pół-jawna koncentracja z zaniechaniem rygorów wieloletniej konspiracji. Odpowiadam za zespół

\*) Imię nieprawdziwe.

wydawnictw, z których "Walka" wychodzi co parę dni. Nie otrzymuję żadnych instrukcji zapowiadających powstanie. Na wszelki wypadek, na podstawie własnych informacji zarządzam stan pogotowia oddziału i wydaję polecenie łączenia na lokal centralny.

— Na wszelki wypadek, — powiada zegnając się z nami Dyrektor Informacji — gdyby coś zaszło, podaję panom mój adres: ulica Jasna . . .

Była godzina trzecia z minutami, gdyśmy się rozchodzili z konferencji w sprawie uruchomienia prasy polskiej w warunkach niepodległości.

Koło kościoła Św. Krzyża przechodziłem około czwartej. Po ulicach krążyły wzmocnione patrole, tramwaje zjeżdżały do remiz, sklepy zamykały okna wystawowe. Dostosowanie jest to "coś", myślę sobie w duchu.

Gwałtowne serie z pistoletów maszynowych rozdarły ciszę nadciągającej burzy. Strzelano na placu Małachowskiego. Zdarzenie takie w Warszawie nie byłoby czymś nadzwyczajnym, ponieważ co pewien czas powtarzały się strzelaniny uliczne w biały dzień. Sam kilka dni przedtem w okolicy placu Małachowskiego ledwie wyszedłem z całą głową. Ale dziś ktokolwiek szedł Krakowskim Przedmieściem — zatrzymał się i patrzył na zegarek. Po chwili wszyscy zaczęli biec. Zastanawiałem się jak mam dotrzeć najprędzej w rejon Twardej, gdy nagle ktoś mnie gwałtownie szarpnął za ramię. Na razie zobaczyłem tylko oczy. Przeróżone, wychodzące z orbit gałki oczne, otoczone rudymi brwiami. Na brzuchu poczułem lufę rewolweru.

— Was ist los? — rzyzał mi prosto w twarz jakiś nieprzytomny ze strachu żołnierz niemiecki. Myślałem w tym momencie, że za chwilę pocinam spust pistoletu. Zupełnie odruchowo, gestem człowieka nieprzytomnego ze strachu.

Mógłbym mu zapewne odpowiedzieć "was ist los", a mianowicie, że w Komendzie Głównej A.K. przeważała koncepcja powstania, że ktoś wziął to na siebie przed Bogiem i historią. Ale to było chyba zbyt skomplikowane. Nie zdążyłem zresztą odpowiedzieć, ponieważ pędząca fala ludzka potrąciła i odciągnęła histeryka z pistoletem, który prawdopodobnie pozbawiłby mnie okazji wzięcia udziału w powstaniu r. 1944.

Dnia drugiego sierpnia, w sposób przewidziany i wypraktykowany w tego rodzaju okazjach, t.j. przeskokami pod solidnym ostrzałem ulicznym, znalazłem się u Dyrektora Dep. Informacji. Teraz chyba ja mógłbym pytać "was ist los", ale jakiegokolwiek pytania były już zbędne. Powstanie było faktem dokonany, angażującym totalnie mieszkańców Warszawy, ich uczucia, tęsknoty, fantazje, humor — to wszystko, co składa się na wspólny typ Warszawiaków. Wieczorem słyhać było przez megafony nadawaną Warszawiankę. Opaski miał już każdy. Tadeusz, z którym zderzyliśmy się w jakiejś bramie podczas nalotu, także "łączył".

Dostał opaskę z pieczęcią Gwardii Ludowej PPR-u. Cóż robić — los płata przeróżne figle.

Zanim jednak spotkałem Tadeusza, stanęłem przed Dyrektorem Informacji, który w sposób uroczysty w imieniu Wicepremiera na Kraj zażądał ode mnie napisania odezwy Stronnictwa Narodowego do ludności Warszawy.

— Jakiej odezwy? — pytam.

— Powstańczej.

Nie było nikogo z władz politycznych naszego stronnictwa. Nie było także innych. "Łączyli" tak jak Tadeusz. Wojna — wiadomo — nie dla cywilów. Wojnę prowadzi wojsko. W myśl tej dewizy biura szefa propagandy Armii Krajowej, pułkownika Rzepeckiego w drapaczu chmur były wzorowo



ALEKSANDRA POLESKA

## BZY KWITNĄ NAD KOKSZAGA

zakwaterowane. Było wszystko na miejscu. Nawet kartki na drzwiach, z napisem, że tutaj jest biuro takie, a tutaj inne. Ale Przewodniczącego Rady Jedności Narodowej, jego zastępcy, członków, ministrów — nie było.

Odezwa powstańcza wypadła jak musztarda po obiedzie i tak mniej więcej wyglądała. Było to najtrudniejsze chyba w życiu wypracowanie na temat "zadany".

Tymczasem logika dni i wydarzeń komponowała klasyczną tragedię, z olbrzymią sceną miasta i z udziałem miliona aktorów. Prosta to była rzecz jak każda tragedia, jak śmierć przyjaciół, poświęcenie innych, powszechny wstyd przed tchórzostwem i próba o przyjęcie do jakiegokolwiek funkcji. Trudno — jest już powstanie. Sam odezwę napisałem. A jeszcze gorzej, bo trzeba było pisać codziennie. Codziennie się człowiek z resztkami nadziei targował, przekonywał siebie, czekał. Może jednak... Może któregoś dnia nagle przesraną płonąć domy na Starym Mieście i ginąć chłopcy z batalionu "Gustaw", z innych batalionów i grupowań.

Na odprawę do dowództwa odcinka przychodziła w imieniu Gwardii Ludowej PPR-u uśmiechnięta komunistka. Wszystko postępowało "po planu". Gdy się w nocy stawało na resztkach jakiegoś domu, na płonącym dachu i ogarniało się wzrokiem morze płomieni, gdy w błyskawicach ognia przeciwniejszego spadały samoloty z zachodu, z tego dalekiego zachodu — wzrok szedł za Wisłę, a pięść zaciskała się i paznokcie wbijały się aż do krwi. Wiadomo już było, że się niczego od logiki nie utarguje. *Dopadli nas znowu — jedni i drudzy*. Dzień był lżejszy, bo w dzień były tylko: śmierć, praca, zmęczenie, głód. W nocy nachodziły myśli. Do tego miał prawo każdy. Nawet statysta w tym olbrzymim chórze tragedii.

Zapewne, nie jest trudno posługiwać się dzisiaj takimi określeniami, jak "w ogniu walki". Żeby je użyć właściwie, trzeba ten ogień czuć. Wiedzieć jak pali, jak boli. Trzeba przy tym być tylko normalnym człowiekiem, to jest: myśleć. Nie załatwi się tego tematu ani poezją, ani wspomnieniami, ani powoływaniem się na deklaracje "w ogniu walki". Ten temat wymaga logicznego sądu. Tylko tyle. A to wszystko.

Były takie zjawiska, które wydawały się doczepioną dekoracją. Moim zdaniem do dekoracji powstańczych należą wszelkiego rodzaju tezy programowe, deklaracje "o co walczymy." Jakby nikt nie wiedział, za co oddaje życie! Pytałem już po wycofaniu się ze Starego Miasta w rozmowie z Tadeuszem, po co była i komu potrzebna ta "deklaracja powstańcza"? Machnął ręką.

Trzeba było jeszcze własnymi rękami usprawiedliwić się przed wrogiem. Usprawiedliwić się, że wcale nie jesteśmy reakcyjni, że wiemy co to jest sprawiedliwość społeczna, że więc to powstanie nie jest faszystowskie i obszarnicze. To ci, co chcą nacjonalizować, wywłaszczać bez odszkodowania, co uznają partię komunistyczną za współpartnera. Takie bowiem sugestie szły od — Mikolajczyka i takie podchwytowano w obliczu katastrofy, uzasadniając, że przecież "innej rady nie ma".

Gdy o tych dniach myślę — mam tę gorączkę, Wściekłość, gorycz, wstyd i przekonanie, że to i tak — na nic. Dla chwilowych interesów kogoś zupełnie innego. Wiem, że o poezji nie można mówić wśród zawodowych morderców. Deklaracje w miesiącach poświęceń życia mogły być tylko jedne: takie, które mówią o celach walczącego narodu, o jego wolności i służbie idei Boga.

Polowanie na rewolucyjne programy, wyciąganie z dekoracji czapki frygijskiej w cementarzu nieszcześć — jest bezmyślnością równą tej, która leży u podstaw samego nieszcześcia.

WIKTOR TROŚCIANKO

ZBUDZONO ich około godziny trzeciej nad ranem. Milicjant Wienoków osobiście obszedł baraki, nie wyręczając się tym razem małym Bronkiem, który był u niego "na funkcji" chłopca do posylek. Szymański był gotów pierwszy, gdyż od czasu ostatniego aresztowania zwykł się być kładł na wół ubrany. Osiekowa i Izabela zjawily się w kancelarii trochę później, przecierając zaspane oczy i śpiesznie zapinając guziki płaszczy, które ledwo zdążyły narzucić na siebie.

Komendant czekał już na nich w jasno oświetlonym pokoju. Pomimo niezwyklej godziny ubrany był równie starannie i elegancko jak zwykle. Gdy weszli, Goriew rozmawiał przez telefon, potem wyciągnął rękę po papiery leżące na stole i patrząc gdzieś ponad głowy trojga ludzi, tak jak to miał w zwyczaju, powiedział:

— Jutro macie się zameldować w Kokszażsku. Będą was sądzić.

Szymański chciał się o coś zapytać, ale komendant nie pozwolił mu dojść do słowa:

— Wyprowadźcie ich — zwrócił się do Wienokowa i zrobił krok w stronę okna na znak, że rozmowa skończona.

Wszyscy troje wyszli razem, potykając się w ciemnościach na schodach. Osiekowa zaczęła płakać, nie starając się nawet odcyfrować co napisano na skrawku papieru, który milicjant wcisnął jej do ręki. Izabela nie umiała czytać po rosyjsku, więc szła nie zatrzymując się wcale, wysoka i chuda, z ramionami zlekka przygarbionymi od codziennego noszenia ciężarów. Jedynie Szymański wyglądał starannie swą kartkę papieru i przy szarym świetle z trudem przebijającego się dnia wysylabizował, iż "Iwan Aleksandrow Szymanski, spec-pieriesieleniec, zamieszkały na 54 uczastku Maryjskiej Republiki, ma się stawić przed sądem za opuszczenie dnia roboczego, które nie zostało usprawiedliwione świadectwem lekarskim." Data przekroczenia przepisu — jak później stwierdzili — była ta sama na wszystkich trzech powiastkach, bowiem pracowali razem w tej samej brygadzie i któregoś dnia w marcu istotnie nie stawili się do roboty, nie mając obuwia jak łapcie z łyka lipowego, które nie chroniły przed lodowatą wodą stojącą na ich *dzielance*, czyli miejscu gdzie pracowali w lesie. Wprawdzie komendant obozu od razu wtedy oświadczył, że pójdą za to pod sąd, ale jednomyślnie zdecydowali, że to nawet jest lepsze niż zapalenie płuc na pasiołku, pozbawionym opieki lekarskiej. Teraz zaś za późno już było na żal i przerażenie i nawet lzy Osiekowej nie mogły niczego zmienić.

Niedługo po tym spotkali się gotowi do drogi. Przed nimi leżała przestrzeń około 45 klm, którą trzeba było przejść w ciągu jednego dnia. Osiekowa przysłała w przedwojennych bucikach na wysokich obcasach i z umalowanymi ustami — bądź co bądź Kokszażsk był miastem, choćby nawet tylko zbudowany był z drzewa. Dzieci zamknęła w baraku, aby za nią nie biegły. Izabela pożegnała się krótko z matką i narzuciła na siebie *fufajkę*, w której zwykle pracowała. *Fufajka* była obszerna i mogła służyć w potrzebie jako nakrycie lub poduszka. Szymański niósł wielki plecak. Żona biegła za nim płacząc, to znów przypominając gorączkowo:

— A nie zapomnij kupić cebuli po drodze. Jeżeli cię wypuszczą. I nie daj się im, pamiętaj! Cały pasiołek wyległ, aby ich pożegnać. Był to pierwszy wypadek wezwania do sądu i los

tak zdarzył, iż oskarżeni mieli być pierwszym ludźmi, którym dane będzie zobaczyć większy świat niż ten, który codziennie widywało się idąc do pracy i z powrotem. I kto wie, może warto było posiedzieć nawet trochę w więzieniu, za te kilka dnia swobody poza obrębem obozu.

Komendant stał uśmiechnięty w drzwiach swego baru; czekał na codzienne widowisko wypędzania ludzi na robotę. Mijając go Izabela przypominała sobie o przepustkach, bez których nigdzie nie wolno się było ruszyć, nawet do lasu na jagody, i zapytała czy ich nie dostaną. Odpowiedź była nieoczekiwana:

— Ja za was teraz nie odpowiadam, tylko sąd. Możecie wcale nie wracać — powiedział Goriew niedbale.

Barak, w którym mieszkał komendant wraz z rodziną, stał na skraju osiedla. Zaraz za nim droga zanurzała się w las. Szli wzdłuż wąskiego toru kolejki żelaznej, która codziennie wywoziła kubametry drzewa zwałonego przez spec-osiedleńców. Poranna mgła wciąż jeszcze wisiała pomiędzy sosnami, które były tak wysokie, iż dobrze trzeba było podnieść głowę, aby zobaczyć wiałą, szumiącą koronę drzewa, jaka wienczyła gładki pień o barwie cynamomu. Robotnicy leśni widocznie nie doszli jeszcze do miejsca pracy, bo ciszy nie maćli zgiełk pił i toporów. Nikomu nie chciało się zacząć rozmowy. Szli naprzód, a drewniane pikiety, znaczące odległość, miarowo cofały się w tył.

Gdzieś na 12 kilometrów Osiekowa siadła na chwilę, aby ściągnąć pantofle. Z westchnieniem ulgi zanurzyła stopy w wilgotny, żółty piasek, którym wysypyany był tor kolejki. "Wygląda jak ubite janko z cukrem" — pomyślała ni stąd ni zowąd i przedko pobiegła naprzód, żeby dogonić tamtych, którzy nie zatrzymali się ani na chwilę.

Około południa Szymański dał hasło do odpoczynku. Weszli głębiej w las chcąc uniknąć słońca i szycerzych okrzyków: *progulszczyki\** ze strony majstrów lasu, którzy o tej porze jeździli ciężarówkami do Staricy na obiad. Zresztą w miarę jak ruch na torze kolejki robił się większy i co chwila trzeba było uskakiwać w bok przed rozpędzoną maszyną łatwiej było iść po prostu lasem, pomimo, iż nierówny teren opóźniał marsz naprzód. Podróżni zrobili sobie przerwę półgodzinną, aby zjeść chleb, jaki mieli ze sobą. Zaraz potem ruszyli w dalszą drogę.

Po czterech godzinach końca lasu ciągle jeszcze nie było widać, ale Wołga musiała już być niedaleko. Wyraźnie dawał się słyszeć świst statków i dalekie nawoływania przewoźników. Kiedy wynurzyli się wreszcie z gęstwiny, ujrzeli ogrom rozlanej wody, wciąż jeszcze wzburzonej niedawnym, wiosennym roztopem.

— Więc to jest Wołga.

Izabela długo stała na brzegu zapatrzona w bezmiar wodny. Osiekowa klóciła się ze starym Czuwaszem usiłując wytargować coś z zapłaty za przewóz na drugą stronę. Szymański raz po raz wtrącał słowo. Dziewczyna była pozostawiona samej sobie i mogła patrzeć ile jej się podobało. Rzeka wydała się jej ani brzydka ani ładna, ale potężna i jakby wroga. Pomimo, iż niebo ponad nią było przejrzyste

\*) progulszczyki — nazwa dawana tym ludziami, którzy z jakiegokolwiek powodu nie stawiali się do pracy.



niebieskie, ani skrawek tego błękitu nie odbijał się w wodzie. Kolor jej był raczej stalowy, ale chwilami wśród odmetu zdawał się błyskać pas rudawej czerwieni, tak jakby dziwne jakieś legendarne zwierzę, jakiś potwór zamieszkujący podwodne pieczary wydobywał się na chwilę na powierzchnię, aby zaczerpnąć powietrza. Ale ten bury błysk ginał równie prędko jak się pojawił i znów olbrzymia masa wody wydawała się tak szara i bezbarwna jak codzienne życie ludzi, którzy obsiedli jej brzegi. Mogłaby tak patrzeć długo jeszcze, ale nie było czasu, bo stary przewoźnik przyprowadził już na wprost spróchniałą łódkę i kazał im siadać. Potem jedno odepchnięcie wiosła i prąd znosił ich zaczął na środek Wolgi.

Czuwając zapytał dokąd idą i po co. Gdy usłyszał, że do Kokszańska na sąd, pokiwał głową i powiedział nie wyjmując fajki z ust:

— Mojego syna też wzięli sędzić, będzie ze dwa lata temu i od tego czasu nikt go nie widział. Ot duraki wy, że progul zdziesiąli.

Szymański zaklął, ale na kobietach wiadomość ta nie zrobiła większego wrażenia. Były już zbyt zmęczone, by przejmować się cokolwiek.

Do Kokszańska doszli dopiero późnym wieczorem. Po słonecznym dniu nastąpiła pogodna noc i gwiazdy obsiadły niebiosa. Dość było jasno, aby można się było zorientować, że Kokszańsk to rozległa wieś raczej, niż miasto. Domy były tylko jednopiętrowe i zbudowane z drzewa zaledwie nieco staranniej niż baraki stojące na pasiołku. Piaszczysta droga biegnąca środkiem miasta zaprowadziła ich prosto do obszernego budynku zwanego Domem Kołchoźnika. Był to rodzaj hotelu dla przyjezdnych, ale wszystkie miejsca zajęto już wcześniej. Odmówiono więc noclegu nowoprzybyłym. Wtedy Szymański wpadł na pomysł pokazania powieści do sądu i natychmiast wszystko się zmieniło. Sam *zawieszony* poprowadził ich na wspólną salę i zbliżywszy się do pierwszego z brzegu łóżka kazał leżącemu na nim człowiekowi wynosić się. Rosły Tatar natychmiast ustąpił i położył się na ziemi, a podróżni mieli już gdzie spędzić noc.

Wejście ich zrobiło sensację na sali. Kołchoźnicy, którzy przyjechali do miasta, aby sprzedać produkty niezabrane im przez państwo, zaczęli się zbliżać powoli i próbowali nawiązać rozmowę. Chcieli też sprzedać te trochę mąki i mięsa jakie mieli ze sobą. Z handlu nie wiele wyszło, ale każdy chciał się dowiedzieć skąd przybywają. Obecność kobiet, i to lepiej ubranych niż Maryjki lub Czuwaszki z kołchozu zrobiła swoje. Przywieszono skądś "garmoszkę" i rozpoczęły się śpiewy. Jakiś młody kołchoźnik nie odejmując zachwyconych oczu od Osiekowej szturchnął w bok łokciem swego sąsiada i wymamrotał: *Smotri kakoje u niej bagactwo tiela*. Ktoś drugi podszedł do Izabeli i powiedział:

— *U mienia kilo mioda jest, dawaj, budziem żenitsa.*

Kiedy tak wspaniała oferta została odrzucona nikt nie rozumiał powodu i pełen zdziwienia szmer rozszedł się po sali . . .

Następnego rana trzeba było rozejrzeć się za domem, w którym miał się odbyć sąd. Kokszańsk w świetle dziennym robił ubogie wrażenie. Wzdłuż domów ciągnęły się drewniane deptaki zastępujące trotuar. Przejeżdżające wozy wznosiły wielkie tumany pyłu. W jednej z chat zainstalowane było kino, gdzie dawano film "Maszénka" dwa razy na tydzień. Tuż obok kina znajdowała się stołówka, do której wolno było wejść tylko za specjalnym pozwoleniem, jeżeli nie miało się karty pracy miejscowego robotnika. Dom, w którym miała się odbyć rozprawa, stał na peryferiach miasteczka. Po wejściu do środka zobaczyli że składa się on tylko z jednej izby. Na środku stał duży stół nakryty spłowiątlą, czerwona

plachtą. Pod ścianą ława dla oskarżonych i druga za stołem dla sądu. Na ścianie wisiał wielki portret Stalina. W izbie na wprost ubrany stróż kręcił się dmuchając od czasu do czasu w samowar. Nie wiedział, kiedy sąd się zjawi, więc nic nie pozostawiało jak siąść i czekać. W izbie było duszno i wielka ilość much laziła po szarych błonach, które zastępowały szkło okienne.

Około południa stróż dał im po szklance kipiaku, przy którym zjedzono po kawałku chleba. Krótko potem oświadczył, że sąd już tego dnia chyba nie przybędzie i poradził przyjść na drugi dzień rano. Wyszli więc, aby obejrzeć przystań.

Na rzece Kokszańce, dopływie Wolgi, ruch był wielki, bo nastał właśnie sezon spławu. Kilkunastumetrowe bale drzewa spychano z brzegu bagrami do rzeki skąd prąd unosił je ku Woldze. Czasem jednak prąd okazywał się za słaby i na rzece tworzył się zator. Wtedy ludzie, co młodszy i zgrabniejsi, jak małpy wskakiwali na śliskie drzewo, aby rozszczepić skłębione bale. Nie zawsze się to udawało i często były między ludźmi wypadki.

Kurzu było tu mniej i domki zbudowane nad przystanią wydawały się ładniejsze niż te w głębi miasta. Należały przeważnie do naczelnictwa i prawie każdy z nich miał małe ogródki. Gdy przechodzili obok nich w drodze powrotnej do domu kołchoźnika Szymański wskazał na jeden z ogrodów:

— Patrzcie, po raz pierwszy widzę bez w Rosji.

Istotnie ogromny krzew bzu tuż przy ogrodzeniu był obsypany wątlami, liliowymi kwiatami. Jakiś dziecko podkradło się pod niego od ulicy i usiłowało zerwać gałązkę ciężką od kwiatów i zapachu.

Na drugi dzień historia z sądem powtórzyła się najdokładniej. Pomimo, iż data rozprawy była wyraźnie naznaczona na powieściach, na dzień ubiegły nikt nie przybywał. Zapasy chleba się skończyły. W wyniku narady obie kobiety namówiły Szymańskiego, aby poszedł do naczelnika spławu, który pod czasową nieobecność oficera NKWD był największym dygnitarzem w miasteczku i dowiedział się, co mają ze sobą zrobić, a także poprosił o kartki na chleb.

Nie mało czasu i trudu zabrało Szymańskiemu dostanie się przed oblicze naczelnika. Był to młody jeszcze człowiek o srogich oczach i ziemistej cerze. Czasem tylko kiedy wzrok jego padał na gromadę dzieci bawiących się na dworze (biurko jego stało tuż przy oknie) w oczach jego prześwalała się smuga nagłej tklivości, i to połączenie upartej twardości rysów i chwilowej miękkości w spojrzeniu wydało się Szymańskiemu, który pilnie śledził wszystkie przemiany tej twarzy, czymś obcym, niezrozumiałym, czymś bardzo prosto "rosyjskim". Naczelnik wysłuchał uważnie relacji Szymańskiego, pomyślał trochę i powiedział:

— Nie macie co siedzieć tu dłużej, bo sąd pewno ani dziś, ani jutro nie przyjedzie. My tu czekamy na drzewo z 54 uczastka i im więcej was przy robocie tym lepiej. Wracajcie do lasu. — Ależ sąd . . . próbował Szymański.

— Już ja to załatwię. Wy możecie już iść i żebyście mi jutro byli na robocie, bo inaczej z *tiurny* nie wyjrzycie. *Doswidania!*

Szymański wrócił do kobiet bez kartek na chleb, ale z pociechą, że są wolni. Postanowili nie nasuwać się już naczelnictwu na oczy i opuścić zaraz Kokszańsk, ale za to wracać do obozu dłuższą drogą, o której wspominali im kołchoźnicy i podróż odbyć w trzech dniach zamiast w jednym. Wydawało im się wysoce nieprawdopodobne żeby naczelnik z Kokszańki mógł się kiedykolwiek dowiedzieć iż nie posłuchali jego rozkazu i zjawili się na robocie o dwa dni później niż powinni.

— A co będziemy jeść?

Osiekowa zbadała plecak a Izabela swoje zawiniątko. Były tam puste butelki na wodę i nic więcej. Jednakże w najbliższej chacie udało się je zamienić na suchary, a Szymański dostał nawet trochę jarzyn za rubla. I już byli gotowi do drogi powrotnej.

Pogoda była od kilku dni niezamącona. Rozgrzany las zdawał się pachnieć żywicą bardziej niż kiedykolwiek. Szli teraz wolniej i często rozmawiali z ludźmi po drodze. Po południu przespali najgorętsze godziny w lesie na trawie, która tak gęsto przetykana była jakimiś nieznanymi kwiatami, że wydawała się biało-żółta a nie zielona. Idąc trzymali się brzegu Kokszańki, codzień można się było umyć w czystej wodzie i w każdej chwili napić bez prośzenia po chatach. Noce przepędzali także na wolnym powietrzu. Przespianie ich bowiem w przygodnej chacie rosyjskiej w jednej izbie z całą rodziną wśród pytających spojrzeń a nade wszystko wśród zapachu gotowanego jedzenia którym się nie dzieleno, nie należało do przyjemności. W ciągu dnia niebo wydawało się jakby cofnięte w tył i bardzo niebieskie. Nie było widać na nim ani cienia chmurki i jego intensywna barwa, spławiła trochę od upału tuż nad horyzontem, działała przedziwnie kojąco.

Podczas drogi Szymański szedł osobno zdala od kobiet. Wydało im się to czymś niezwykłym, bo nawet na postojach siadał z boku zamiast rozmawiać jak poprzednio. Czymś był widocznie zajęty, bo ręką podpierał ciężką od myśli głowę. W miarę jak zbliżali się do obozu krok jego stawał się wolniejszy i bardziej niechętny. Czasem przystawał na skrzyżowaniu dróg i długo wahał się zanim wybrał właściwy kierunek. Raz nawet stracił go zupełnie z oczu na jakieś pół godziny. Kiedy trzeciego dnia zamajaczył przed nimi znajomy las gdzie ostatniej zimy walono drzewa Szymański przystanął na chwilę, a potem powiedział półgłosem i jakby do siebie:

— Do Lipszy stąd jest niecałe 15 kilometrów, a stamtąd można kupić bilet do Kijowa. Pociąg idzie raz dziennie nad wieczorem. Tak Grosman zrobił zeszłej zimy i pewno już jest w Warszawie. Bilety sprzedają bez pytania o dokumenty. Z Kijowa możnaby już na piechotę do samej granicy. . . U mnie w Winnikach bez kwitnie ładniej niż ten ich kokszański . . .

Usiadł na ziemi i twarz ukrył w dłoniach; z porzuconego plecaka wypadło kilka mizernych cebulek i potoczyło się po zapyłonej drodze. Szymański przywarł do nich wzrokiem. Po chwili wstał i machnąwszy ręką poszedł ciężko w stronę obozu, nie oglądając się już za siebie.

Jeszcze jeden, dwa zakręty i wysoki komin baraku, w którym mieszkała milicja, zarysował się w przejrzystym powietrzu z oddali. Drzewa tu już były rzadsze i nie tak wysokie. Chłód Kokszańki, która została daleko, ustępował upałowi wyrębu. Przed nimi leżał już tylko zagajnik na wprost po ostatniej *odczystce* i parę odartych z kory brzoź. Zbliżali się już na dobre do pasiołka, kiedy Izabela powiedziała nicoczekiwanie:

— Już wiem, czemu Goriew nie bał się nas puścić bez eskorty i przepustek. Wiedział dobrze, że każdy z nas wróci do swoich.

Tej nocy nie mogła długo zasnąć pomimo, że matka pod jej nieobecność wyparzyła drewnianą prycę i napełniła siennik świeżą trawą. Odparzone stopy śwędziły nieznośnie. Wokół spali zmęczeni ludzie i cały obóz zdawał się odpoczywać i zbierać siły do następnego dnia. Tylko z jednego baraku dochodził podniesiony głos kobiecy pomimo późnej godziny. To Szymańska robiła mężowi głośno wyrzuty, że jarzyny jakie przyniósł są zepsute i nie nadają się do użytku.

ALEKSANDRA POLESKA



# TROCKI O STALINIE

**G**DY w końcu 1941 roku, w okresie "miodowych" stosunków polsko-rosyjskich, zaczęły napływać do Londynu coraz liczniejsze wiadomości od amnestionowanych w Rosji rodaków, pełne ostrzeżeń co do dobrej woli moskiewskich czynników rządowych, uzasadniane tym, że w Związku Sowieckim nie istnieją pojęcia honoru, prawdy, dobra i wolności — nie znajdowały one pełnego posłuchu wśród nas, a praktycznie żadnego wśród naszych sprzymierzeńców. Tłumaczono sobie, że światopogląd materialistyczno-dialektyczny jest inny, różny całkowicie od naszego, że jednak i w nim liczyć można na znalezienie pewnego szkieletu etycznego odmiennego, ale opartego na jakiejś namiastce porządku moralnego, choćby takiej, jak solidność w byznesie.

Były to złudzenia. Z uczuciem najwyższego zdumienia, z którego dotąd nie może się otrząsnąć, świat przekonywa się, że w życiu publicznym Związku Sowieckiego nie istnieje żaden system etyczny, że przeciwnie — rządzi nim zło wyniesione do godności zasady, zło w stanie czystym.\*

Jednym ze źródeł wiadomości jest dzieło Trockiego o Stalinie, niewykończony w szczególach wskutek zamordowania autora przez agentów Stalina (20 sierpnia 1940) i opóźnione w wydaniu przez rząd amerykański o lat kilka z powodu lojalności sojuszniczej. Jego treścią jest oskarżenie Stalina o zdradę prawdziwej ideologii komunistycznej na rzecz zysku osobistego: osiągnięcia władzy absolutnej. Oskarżenie to, będące kłótnią w rodzinie, interesuje nas mniej niż tło ogólne, polegające na odmalowaniu charakteru i umysłowości Stalina, wyliczeniu jego zbrodni partyjnych i ukazaniu zła jako wspornika systemu państwowego. O ile pierwszym dwom barwom obrazu należy przypatrywać się z całą ostrożnością, jako użytych w szale nieokiełznanej nienawiści, o tyle barwę trzecią można uważać za prawdziwą i za tak naturalną, za jaką ją miał sam Trocki.

Każda karta oskarżenia napawa czytelnika wrażliwym, że Trocki spóźnił się, że gdyby zdołał być wygarnąć w swojej ojczyźnie i we właściwym czasie wszystko to, co pisał przeciw Stalinowi na wygnaniu, — zapewne mógłby być zamienić z nim rolę i stać się dyktatorem sowieckim. Jedna tysięczna oskarżeń Trockiego wystarczałaby w Sowietach, sądząc po przebiegu "procesów czystkowych" opisanych przez Krawczenkę w "I Choose Freedom", do ubicia najwyższych dygnitarzy. Wystarczyłoby n.p. powołać się na świadków, że Stalin w roku 1913 "wybuchnął niepoahamowanie przeciw żydom, używając najostrzejszych wyrazów gruzińskich". Jednak za czasów Trockiego czystka partyjna i wzajemne oskarżanie się komunistów nie były jeszcze w codziennym użyciu. Spóźniony Trocki starał się zatem nadrobić stratę jak tylko umiał. A umiał i wiedział wiele o Stalinie, choć nie łatwo jest wtropić pochodzenie i przebieg życia prawdziwego komunisty.

Poszedł śladem Stalina od jego kolebki w gruzińskim Gori, przez czasy szkolne (czteroletnia szkoła duchowna w Gori i cztery

lata studiów w seminarium teologicznym w Tyflisie, których nie zakończył) i wcześniej rozpoczęte życie polityczne. Wykazuje, że w życiu tym Stalin nie wybił się przed rewolucją 1917 roku, pozostając w szarej masie podrzędnych pracowników. Nawet w rodzinnej Gruzji pierwszeństwo wśród działaczy komunistycznych przyznawane było wówczas nie Stalinowi, lecz Szumianowi i Dżaparidze (obaj zabici przez Brytyjczyków w czasie okupacji Zakaukazia, 20 września 1918 roku). Na konferencji partyjnej w Pradze 1912 roku, odbytej pod znakiem przeszerzenia działaczy partyjnych przez represje w Rosji i pomimo poparcia Lenina, Stalin nie został wybrany do komitetu centralnego. Wyróżnienia tego dostąpił dopiero na wiosnę 1917, wybrany na miejsce przedostatnim; do komitetu weszli wówczas: Lenin, Zinowiew, Kamieniew, Milutin, Nagin, Swierdłow, Smilga, Stalin, Fiedorow, a jako zastępcy: Teodorowicz, Bubnow, Glebow-Awiłow i Prawdin. Z tej trzynastki jedyny Stalin ostał się przy życiu, a jednemu Swierdłowowi udało się umrzeć śmiercią naturalną; pozostałych jedenastu zostało sprzątniętych przez Stalina. W ciągu 17 lat swej działalności, z których zaledwie (jak podkreśla Trocki) 8 lat spędził w więzieniu i na zsyłkach, pozostawał nieznanym ogółowi partyjnemu. Również i policja carska nie interesowała się nim zbyt. Udział jego w przygotowaniu rewolucji październikowej był minimalny.

W wojnie domowej również nie wyróżnił się. Wpływ Stalina na tych odcinkach frontu, do których był przydzielany, nie zaznaczył się zupełnie, w armii prestiżu nie zdobył. Pozostawał zawsze bezosobowy, biurokratyczny, zandarmski. Rzekome zasługi, jak n.p. obrona Piotrogradu przez Stalina i inne wyczyny, dorobiono i przypisano mu znacznie później.

Rola Stalina w wojnie z Polską pozostawiła na nim, przynajmniej w oczach wtajemniczonych członków partii, plamę nie do zmazania, o czym jeszcze poniżej. Stroną polityczną tej wojny kierował Trocki w codziennym kontakcie z Leninem, Cziczerinem, Karachanem, Krestinskim, Kamieniewem i Radkiem. Stalin na politykę tej wojny nie miał żadnego wpływu. Z wymienionych osobistości kierowniczych umarli własną śmiercią: Cziczerin (w nielase i izolacji politycznej), Radek (w więzieniu); Lenin został otruty, pozostali trzej — straceni.

Dopiero w okresie 1922-23 Stalin powoli skupia władzę w swoim ręku, korzystając z uzyskania stanowiska sekretarza generalnego partii i choroby Lenina (pierwszy atak apoplektyczny nastąpił w maju 1922 roku). Stalin opanowuje stopniowo maszynę biurokratyczną "pozyskując sobie ludzi nie drogą podbijania ich własnym urokiem, lecz szantażem i zmuszaniem do udziału w zbrodniach."

Pod koniec 1922 roku Lenin podległ drugiemu atakowi. W lutym 1923 Stalin poinformował Zinowiewa, Kamieniewa i Trockiego w rozmowie prywatnej, że Lenin poprosił go o dostarczenie trucizny. Wszyscy obecni, z wyjątkiem Stalina, wypowiedzieli się stanowczo przeciw skróceniu cierpienia swego przywódcy. 6 marca Lenin zerwał wszelkie stosunki ze Stalinem (czego bezpośrednim powodem, jak się okazało później, była ostra odmowa Stalina udzielenia bieżących informacji Krupskiej, która usiłowała zbierać je dla Lenina); 9 marca nastąpił trzeci atak, bardzo silny, po którym jednak Lenin począł

stopniowo odzyskiwać mowę i ruchy. 20 stycznia 1924 roku Lenin zaczął się nagle skarżyć na ból głowy, stracił apetyt; następnego dnia zmarł. Hipoteza Trockiego, trzeba przyznać bardzo prawdopodobna, jest następująca: po otrzymaniu listu Lenina, zrywającego stosunki, a następnie jego testamentu politycznego, w którym doradzał usunięcie Stalina ze stanowiska sekretarza generalnego, — Stalin postanowił usunąć wszelkie możliwe przeszkody. Tylko śmierć Lenina mogła utrzymać go przy władzy, a ponieważ śmierć nie nadchodziła, przeciwnie Lenin stał się silniejszy — postanowienie wprowadził w czyn. Otrucia dokonał zapewne Jagoda, ówczesny szef O.G.P.U., farmaceuta z zawodu, późniejszy oprawca Gorkiego i wreszcie ofiara Stalina (1936). Nawet pomimo zdobycia wszechmocnej władzy (12. kongres partyjny w kwietniu 1923 oddał mu przewodnictwo zarówno komitetu centralnego jak i Politbiura) Stalinowi nie od razu udało się zafalszowanie historii na swoją korzyść. Jeszcze w wydanej w 1923 roku "Kulturze Sowietów" w rozdziałach "Twórcy armii czerwonej" i "Siły zbrojne w ciągu pierwszych siedmiu lat porowolucyjnych" — nazwisko Stalina wcale nie jest wymienione. Nawet i w 1926 roku wydanej, poprawionej *Historii partii*, nie pojawia się również nazwisko Stalina.

Jego nicość w porównaniu do wielkości Trockiego i mechaniczne, a bezprawne, wyniesienie się pierwszego, stanowią w oczach prokuratora na wygnaniu znacznie cięższe oskarżenia niż wyliczenie faktycznych przestępstw i zbrodni Stalina. Strony kryminalnej Trocki bynajmniej nie pomija, ale traktuje ją raczej dodatkowo, jakby dla tym większego podkreślenia gwałtu i krzywdy politycznej. Takie naprzykład wspominki, jak przypomnienie o udziale Stalina w niewyraźnej sprawie "ekspropriacji" parowca *Mikołaj I* w Baku w roku 1907, jak wydanie przez Stalina rozkazu wymordowania rodziny carskiej wbrew woli Lenina i Trockiego, jak zgładzenie ogromnego szeregu najwybitniejszych osobistości świata politycznego (Trocki nawet nie trudzi się dać pełnej listy pomordowanych) — ustępują w oskarżeniu na plan dalszy, a niekiedy omawiane są ze zrozumieniem i otoczone odzieniem sympatii.

Z politycznych przestępstw Stalina, Trocki wybija na plan pierwszy militarne podbicie Gruzji, dokonane przez Stalina na własną rękę w roku 1921, wbrew intencjom Lenina oraz ciężkie błędy z czasu wojny z Polską.

Wojna — według Trockiego została narzucona Sowietom przez Piłsudskiego. Celem rządu sowieckiego było nie tylko odeprzeć ten atak, ale również zanieść rewolucję bolszewicką do Polski i w ten sposób otworzyć komunizmowi drzwi do Europy. Trocki sprzeciwiał się prowadzeniu tej kampanii, uważając, że widoki na zniesienie rewolucji w Polsce są znikome, lecz podporządkował się głównym rzeźnikom, którymi byli Lenin, Zinowiew, Kamieniew i Stalin. Przyczynę klęski sowieckiej w tej wojnie przedstawia Trocki w sposób następujący:

"Jednym z głównych powodów, że katastrofa pod Warszawą przybrała tak ogromne rozmiary było zachowanie się dowództwa zachodniej grupy armii południowej, zadyrgowanej na Lwów. Główną figurą polityczną w rewolucyjnej radzie wojennej tej grupy był Stalin. Za wszelką cenę chciał wejść do Lwowa

\*Trotsky Leon: *Stalin, an Appraisal of the Man and his Influence*. Edited and translated from the Russian by Charles Malamuth. Harper and Brothers, New York and London, 1941; książka ogłoszona drukiem w marcu 1946. Str. XV i 516. Doł. 5.00.



równocześnie z opanowaniem Warszawy przez Tuchaczewskiego. Szybki ruch naszych sił w kierunku Wisły zmusił dowództwo polskie do podjęcia największych wysiłków i, przy pomocy francuskiej misji wojskowej, do skoncentrowania znacznych oddziałów w rejonie Warszawy i Lublina. W tym decydującym momencie linia naszego frontu południowo-zachodniego, na którym toczyły się działania główne, odchyliła się pod kątem prostym od linii frontu zachodniego: Stalin poprowadził wojnę na własną rękę. Gdy niebezpieczeństwo grożące Tuchaczewskiemu stało się oczywiste i gdy naczelny wódz nakazał frontowi południowo-zachodniemu przesunąć punkt ciężkości na kierunek Zamość — Tomaszów w celu zagrożenia skrzydła sił polskich pod Warszawą, dowództwo tego frontu, zachęcone przez Stalina, w dalszym ciągu prowadziło natarcie w kierunku zachodnim. "Czyż nie jest ważniejsze — suflował Stalin — zajęcie Lwowa niż pomoc innym w opanowaniu Warszawy?" W ciągu trzech czy czterech dni naczelne dowództwo nie mogło wymóc wykonania rozkazu. Dopiero po użyciu gróźb, Budienny nakazał zmianę kierunku działań, jednak kilkunastowe opóźnienie wywarło już wpływ fatalny. Polacy w międzyczasie podjęli kontrofensywę i zmusili nasze wojska do odwrotu".

Gdyby Stalin, Woroszyłow i analfabeta Budienny nie prowadzili wojny na własną rękę w Małopolsce i gdyby armia konna znalazła się na czas pod Lublinem, "siły czerwone nie poniosłyby klęski, niosącej w konsekwencji pokój ryski, który odciął państwo sowieckie od Niemiec i przez to wywarł olbrzymi wpływ na przyszły rozwój obu krajów".

Zmazywa tyłoma winami w stosunku do partii, obciążony całą litanią przestępstw kryminalnych, nieuk (nie wykorzystał wcale ośmiu lat więzień i zsyłek do rozwinięcia się intelektualnego), człowiek pozbawiony wszelkich talentów, nienawidzący mas i zamieszek, prawdziwe przeciwieństwo trybuna rewolucyjnego, niezdolny do porwania kogokolwiek swoją indywidualnością — dzięki czemu więc Stalin zdołał zdobyć władzę? Dzięki ogromnej sile woli (wyłącznie złej), nadzwyczajnemu opanowaniu, umiejętności rozkładania każdego planu na kolejne etapy oraz skoncentrowaniu uwag tylko na interes osobisty, wreszcie dzięki brakowi wszelkich skrupułów — odpowiada Trocki. "W życiu duchowym Stalina osobisty cel praktyczny zawsze stał ponad prawdą i sprawiedliwością". "Stalin wszędzie i we wszystkim widział stronę negatywną, złą; nie wierzył zupełnie w motywy idealistyczne człowieka". "Jest to pod względem strategii — oportunistą, pod względem taktyki — rewolucjonistą; innymi słowy oportunistą z bombą z zanadru". "Człowiek szalonego uporu i mściwości, widzący w ludziach jedynie słabości i umiający wygrać je". "Stalin, osiąga swoje cele za pośrednictwem innych a sam pozostaje w cieniu i unika publicznego zdawania sprawy i odpowiedzialności". I tak dalej.

Choć świadectwo Trockiego ze zrozumiałych względów nie zasługuje na wiarę — niepodobna go odrzucić całkowicie wobec coraz to obficie napływających potwierdzeń ze stron najróżniejszych. W niejednym zawierzyć mu można, a przede wszystkim w tym, że szczytowe miejsce w piramidzie hierarchii sowieckiej zajmuje człowiek mocny, a pozbawiony wszystkich tych hamulców, w które wyposażała nas tysiąclecia cywilizacja. Bloki, na których się wspiera, są podobnej konsystencji.

Narzuca się refleksja, że przy takiej budowie nie trudno o wstrząsy w chwilach koniecznej zmiany u wierchołka piramidy.

T.W.

## UWAGI

### SYMBOLE WIELKOŚCI

We czwartek, dnia 10 lipca 1947 w Instytucie im. Gen. Wł. Sikorskiego złożone zostały na przechowanie sztandary Polskich Sił Zbrojnych do czasu, w którym będą mogły powrócić na należne im miejsce w wolnej Ojczyźnie.

Dla żołnierza była to uroczystość szczególnie smutna; każdy dzień — a było tych dni już setki — w sposób dobitny tłumaczył niespodziewaną i niezawinioną klęskę narodu, którego armia odniosła tyle pięknych zwycięstw. Sztandary bojowe, pochylające się w czasie uroczystego nabożeństwa w Katedrze Westminsterkiej, to widomy, a głęboki smutek dalszego tułactwa trzech wartości, których symbolem jest sztandar wojskowy. Wartości te, to ewangelia żołnierza polskiego, to: Bóg, Honor i Ojczyzna.

W czasach dzisiejszych, czasach przemocy nad ojczyznami wielu narodów, o honorze się nie mówi, a Bóg zeszedł głęboko w serca najbardziej ufnych, najbardziej wierzących.

Miała ta uroczystość i drugą stronę, tę którą w największym smutku pozwala człowiekowi patrzeć prosto, mieć głowę podniesioną. Dobrze było przypomniać sobie, że przez długie lata wojny te właśnie polskie sztandary bojowe były jasną plamą na coraz bardziej ciemniejącym tle politycznej degeneracji świata. I na próżno nieprzyjacieli w obcym lub polskim języku wyszydzali będzie wszystko, co ze sztandarami tymi było związane: ich pola zwycięstw, męstwo żołnierzy, odwagę dowódców, nawet cisze cmentarzy wojskowych. My wiemy, że wszędzie pod tymi znakami bojowymi, czy nawet bez nich — w dołach Katynia, w lasach i obozach — oddawali Polacy wszystko, czego w tak wielkiej ilości żądał od nas Bóg, Honor i Ojczyzna.

I dlatego w dniu 10 lipca, w dniu smutnym dla żołnierza, jedyną wielką i głęboką pociechą była świadomość spełnionego obowiązku, jedyną przyjaźnią — przyjaźń Boża, okazana w majestacie nabożeństwa, celebrowanego z całą okazałością w Katedrze Westminsterkiej. Raz jeszcze, tak jak zresztą zawsze w ciągu tej wojny, z gorącymi słowami trwałej przyjaźni znaleźli się przedstawiciele Kościoła Katolickiego w W. Brytanii, z J. E. Ks. Kardynałem Griffinem, który symbolem polskiego ducha błogosławił na cierpliwym trud oczekiwania.

### ZAGŁĘBIE RUHRY

W związku z planem Marshalla aktualna stała się znowu kwestia Zagłębia Ruhry i włączenia go w system gospodarczy europejski. Polityka amerykańska, która znalazła wyraz w nowych instrukcjach dla szefa amerykańskiego zarządu wojskowego gen. Claya zapowiada stworzenie "silnych i prosperujących Niemiec". W praktyce zmiana ma polegać na zwiększeniu cyfr produkcji przyjętych w układzie poczdamskim dla poszczególnych gałęzi produkcji niemieckiej w połączonych zonach angielskiej i amerykańskiej. W najważniejszej gałęzi podstawowego przemysłu niemieckiego, a mianowicie stali, proponuje się podniesienie produkcji z 5,8 do 12 milionów ton. Wprawdzie w tych samych instrukcjach gen. Clay otrzymał zalecenie "porozumienia się z innymi krajami europejskimi co do niemieckiej produkcji i handlu", niemniej nie ulega wątpliwości, że Stany Zjednoczone mają dostateczny zapas środków, aby swój pogląd przeprowadzić.

Nowy plan amerykański jest sprzeczny przede wszystkim ze stanowiskiem rządu francuskiego, który od samego początku domagał się dla siebie zwiększonego udziału w produkcji węgla niemieckiego, a z drugiej strony przeciwstawiał się odbudowie przemysłu hutniczego. Ten ostatni według projektu

francuskiego miał zostać przesunięty do zachodnich krajów sojusznicznych, w pierwszym rzędzie do Lotaryngii, i korzystać z importowanego węgla niemieckiego.

Nowy plan amerykański dla Niemiec wywołał duże zaniepokojenie we Francji, gdzie opinia polityczna jest jednolita, jeśli chodzi o realne gwarancje przeciwko odrodzeniu się wojennego potencjału niemieckiego. Postawienie Francji wobec faktu dokonanego mogłoby pociągnąć za sobą poważne konsekwencje w wewnętrznym układzie politycznym rządu francuskiego. Komuniści bowiem uczynią wszystko, by wykorzystać ten atut wobec wrażliwej na sprawę niemiecką opinii francuskiej.

Inny aspekt planu amerykańskiego dotyczy socjalizacji przemysłu w Ruhrze. Dyrektywa dana gen. Clayowi zabrania wprowadzenia "obcych ideologii". Sformułowanie to odnosi się nie tyle do Sowietów, ile do W. Brytanii, której rząd zobowiązany jest uchwałą Kongresu Partii Pracy z 1945 r. do przekształcenia ciężkiego przemysłu niemieckiego z własności prywatnej na własność publiczną. Plan ten jest zdecydowanie odrzucany przez stronę amerykańską, która w tej chwili dysponuje nie tylko możliwościami inwestycyjnymi, ale jedynie jest w stanie dostarczyć żywności zachodnim strefom Niemiec.

Zagadnienie odbudowy gospodarczej Niemiec zachodnich sprowadza się do takiego ułożenia stosunków w Niemczech, by mogły się one, o ile możliwości, same utrzymać i zapewnić swej ludności względny dobrobyt. Daleko jednak idąca rozbudowa potencjału przemysłowego dawałaby państwu niemieckiemu ponownie możliwości odzyskania dominacji na kontynencie. Przed tą ewentualnością narody europejskie muszą być zabezpieczone. Jest rzeczą ważną, by osiągnięta została właściwa równowaga między obu tymi postulatami. Tylko wówczas może z czasem być osiągnięta organiczna jedność krajów Europy — tak zachodniej jak środkowej, Europy, która będzie zabezpieczona przed dominacją czyjąkolwiek z wewnątrz bądź zewnątrz.

### PLAN DLA ZACHODNIEJ EUROPY

Dla każdego choć z grubszą poinformowanego obserwatora stosunków politycznych w Europie Środkowej i Południowo-Wschodniej było rzeczą oczywistą, że Rosja — sama odmówiwszy udziału w planie Marshalla — nie udzieli również swojej zgody na uczestniczenie w konferencji paryskiej rządowi od niej zależnym. Co do państw takich jak Jugosławia, Albania czy Bułgaria nawet najwięksi optymiści nie mieli złudzeń. Gorzką niespodzianką natomiast wielu jeszcze politykom zachodnim sprawił rząd czechosłowacki, który przyjąwszy najpierw zaproszenie następnie ze wstydem musiał pójść do Canossy i wyrównać szereg z innymi marionetkami moskiewskimi. Zachowanie się rządu praskiego było o tyle znamienne, że położyło zapewne kres szerzonej przez niektóre czynniki propagandzie, iż niepodległość państwowa i demokracja typu zachodniego zostały jakoby uratowane w Czechosłowacji dzięki "rozumowi" politycznemu Benesza i jego adjutantów. Ta z gruntu fałszywa ocena rzeczywistości czeskiej, chętnie przyjmowana na Zachodzie przez ludzi kierujących się w polityce pobożnymi życzeniami, narobiła wiele szkód wszystkim narodom środkowo-europejskim. Okazało się obecnie, że jeszcze jedną fikcję — fikcję tzw. pomostu łączącego Wschód i Zachód — trzeba odłożyć do lamusa.

W wyniku stanowiska Mołotowa na 24 państwa europejskie tylko 16 było reprezentowanych w Paryżu. Razem wzięwszy państwa



te reprezentują 212 milionów ludności, a łączny ich handel zagraniczny stanowił przed wojną niemal trzy czwarte handlu europejskiego (bez Rosji). Pod względem zasobów i zdolności produkcyjnych blok ten może stanowić siłę stosunkowo znaczną w toczonej się dziś rozgrywce o panowanie nad kontynentem europejskim i światem. Nie ulega jednak wątpliwości, że bez krajów Europy Środkowej trudności gospodarczych zachodniej części kontynentu rozwiązać się nie da. Z jednej strony bowiem obszar zachodni pozbawiony będzie naturalnych rynków zbytu dla swych produktów przemysłowych, z drugiej zaś strony odciecie wschodniej części spowoduje dotkliwy i chroniczny brak produktów rolniczych na Zachodzie. Pomysł utworzenia uzupełniającego dla Europy Zachodniej obszaru rolniczego bądź w Afryce bądź na Środkowym Wschodzie są nierealne, choćby ze względu na olbrzymie środki potrzebne do zrealizowania takiego planu, a ponad to wykonanie tego planu wymagałoby bardzo długiego czasu.

Brak Rosji i jej satelitów w Paryżu pozwolił przedstawicielom pozostałych 16 narodów europejskich na szybkie utworzenie tzw. Komitetu Europejskiej Współpracy Ekonomicznej. Techniczne prace ustalające potrzeby krajów zachodnio-europejskich mają być zakończone na 15 września. Główne uzgodnione punkty kwestionariusza, który ma być do tego czasu wypełniony przez poszczególne kraje, obejmują: 1) sprawozdanie z trudności ekonomicznych spowodowanych wojną, 2) analizę wysiłków w zakresie dotychczasowej odbudowy, 3) pomoc daną przez poszczególne państwa innym krajom, 4) plany gospodarcze przewidziane na okres 1947-1951, 5) braki i nadwyżki produktów żywnościowych, 6) zapotrzebowanie w zakresie przywozu i możliwości eksportu maszyn, 7) bilans płatniczy, 8) wykorzystanie pełnych możliwości produkcyjnych oraz 9) współpracę i samopomoc w ramach samej Europy.

Z wyżej wymienionych punktów wynika, że chodzi o ustalenie współpracy i planowania raczej na długą metę. Tymczasem potrzeby bieżące krajów zachodnich, a zwłaszcza Anglii i Francji, stają się coraz bardziej gwałtowne. Oblicza się, że pożyczka amerykańska udzielona Anglii zostanie wyczerpana do końca bieżącego roku. Spodziewano się, że Kongres amerykański zajmie się rozpatrzeniem i uchwaleniem planu pomocy na jesieni br. i że w ten sposób nie będzie przerwy między wyczerpującym się szybko zapasem dolarów i wejściem w życie planu Marshalla. Tymczasem przesunięcie terminu Kongresu oznacza, że pomoc amerykańska może stać się efektywną najwcześniej późną wiosną roku przyszłego.

Zmiana stanowiska amerykańskiego spowodowana została wzrastającą niechęcią udzielania pożyczek zagranicznych. W Ameryce ponad to zaczynają oddziaływać prądy izolacjonistyczne w zmienionej nieco postaci. Ilustruje to najlepiej wypowiedź senatora Balla, który wyraził opinię, że skoro w Europie chodzi o wybór między socjalizmem i komunizmem, lepiej zachować zasoby amerykańskie na nieuniknioną wojnę z Rosją, aniżeli rozdawać je Europie po to, by zagarnięte zostały przez Sowiety. Inną przyczyną odłożenia dyskusji w Kongresie amerykańskim jest niechęć obciążenia się przez Prezydenta Trumana i Partii Demokratycznej wyłączną odpowiedzialnością za pomoc Europie wobec zbliżających się wyborów. Rząd w Waszyngtonie uznał, że potrzeba dłuższego czasu na to, by uzyskać zgodę obu partii i przekonać opinię publiczną.

W praktyce zatem W. Brytania stanie w obliczu konieczności bardzo znacznego ograniczenia przywozu żywności, przede wszystkim surowców. W tej sytuacji dramatyczne słowa min. Morrisona, że "dwunasta godzina wybije

na jesieni", nie są jedynie zwrotem retorycznym, ale ilustrują powagę położenia gospodarczego Anglii. Samopomoc zaś w ramach państw europejskich bez jednoczesnej pomocy amerykańskiej nadchodzącego kryzysu gospodarczego zażegnać nie może.

Nie trzeba dodawać, że ten stan rzeczy może mieć poważne konsekwencje polityczne w okresie nadchodzącej zimy.

## WOJNA W GRECJI

Wypadki w Grecji, gdzie uzbrojone oddziały komunistyczne, wsparte przez komunistyczne rządy Jugosławii, Bułgarii i Albanii oraz brygady międzynarodowe, wtargnęły na terytorium greckie, świadczą o tym, że Moskwa bynajmniej nie zrezygnowała z rozszerzenia obszaru swego panowania. Zbrojna ingerencja w Grecji daje Sowiетom wiele korzyści. Politycznie hamuje stabilizację stosunków i utrudnia pokojową odbudowę przy pomocy amerykańskiej jedyne go kraju, który pozostał w tym obszarze niezależny. Ponadto daje okazję do przeprowadzenia mobilizacji i wyszkolenia komunistycznych oddziałów wojskowych, które dziś są użyte w Grecji, jutro zaś mogą być użyte gdzie indziej bez oficjalnego angażowania się strony sowieckiej. Jeśli użyte zostaną skutecznie, czysty stąd zysk dla polityki sowieckiej; jeśli spotka je porażka — zawsze może się wycofać bez uszczerbku dla swojego prestiżu.

Powodzenie partyzantki komunistycznej w Grecji w dużej mierze należy przypisać chwiejnej do niedawna polityce angielskiej i amerykańskiej. Rozglądanie się za jakimiś czynnikami "liberalnymi" na lewicy greckiej, których zresztą nie było i nie ma, musiało pociągać za sobą dezorientację obozu antykomunistycznego, a tym samym wzmocnienie komunistów.

Sytuację w Grecji zwięźle scharakteryzował korespondent *Times'a* z dn. 15 czerwca w depeszy z Aten:

"Linia podziału w Grecji nie ma nic wspólnego z dawnymi kierkami greckich partii politycznych, mało ma związaną z prawicą i lewicą, a najmniej jest związana ze sprawą monarchii czy republiki... Obecnie nastąpił wyraźny podział ludności na narodowców i komunistów."

Mimo świadectwa własnego korespondenta *Times* w artykule wstępnym z tego samego dnia zaleca "kompromis"; sugerowany rzekomo przez małe grupki na lewicy.

Złudzenia, którym ten organ hołduje, zdają się nie mieć końca.

## CHINY

W czerwcu i lipcu b.r. prasa i agencje prasowe podały następujące wiadomości:

Dnia 11 czerwca Reuter podał z Nankinu, że rząd chiński polecił swemu ambasadorowi w Moskwie zaprotestować u rządu sowieckiego i u rządu republiki Zewnętrznej Mongolii przeciw inwazji terytorium chińskiego przez wojska Mongolii.

Równocześnie dr. Czang, rzecznik chińskiego ministerstwa spraw zagranicznych, oświadczył m.i.: "Rząd jest w posiadaniu raportów odnośnie wkroczenia wojsk Zachodniej Mongolii do prowincji Sinkiang i zaatakowania garnizonu chińskiego w Peitszan, który jest położony daleko od granicy, między Sinkiangiem a Zewnętrzną Mongolią. Nie jest to zwyczajny incydent graniczny. Rząd ocenia sytuację z wielkim zaniepokojeniem"...

Dalej oficjalna Agencja Centralna podała, że walki około Peitszan toczą się dalej i że samoloty ze znakami sowieckimi bombardują chińskie pozycje w okolicy.

Dnia 2 lipca korespondent *Times'a* podał z Pekinu, że w Mandżurii wojska rządowe zabezpieczyły strategiczny węzeł kolejowy Szepingkaj, który był atakowany przez wojska komunistyczne w ciągu 17 dni.

W wyniku tego komunikacja kolejowa między Mukdenem a Czang-Czunem po naprawie uszkodzeń może być otwarta. Dalej korespondent podaje, że szef sztabu wojsk rządowych generał Czen-Czeng oświadczył, iż razem z wojskami komunistycznymi atakującymi Szepingkaj było więcej niż 30 sowieckich doradców.

Następnie korespondent podaje, że mimo, iż komuniści zostali zatrzymani w pochodzie na Tientsin, to jednak skierowali swą uwagę na linię kolejową Pekin-Hankou, zajęli kilka miast na południe od Pekinu i atakują centrum wojskowe Paoting.

Dnia 4 lipca agencja Reutera podała z Nankinu, że chińska Rada Państwowa pod przewodnictwem generała Czian-Kaj-Szeka prezydenta Chińskiej Republiki zaaprobowała całkowitą mobilizację tak sił ludzkich, jak i wszelkich zasobów, aby kontynuować walkę przeciw chińskim komunistom. Generał Czian-Kaj-Szek osobiście przedłożył Radzie Państwa (najwyższemu organowi państwowemu) oświadczenie liczące 1500 słów podczas 3-godzinnej tajnej sesji. Oświadczenie to, mające "usunąć przeszkody" stojące na drodze jedności Chin, zostanie przekazane wykonawczemu Yonan (rządowi), który wypracuje konkretne plany dla przeprowadzenia totalnej mobilizacji.

Decret o mobilizacji poprzedziło oświadczenie dr. Sun Fo, wiceprezydenta Republiki Chińskiej, gdzie zwrócił uwagę na krytyczną sytuację rządu centralnego, przypisując ten kryzys interwencji Sowiетów. Następnie dr. Sun Fo zaapelował o udzielenie rządowi centralnemu dalszej pomocy tak wojskowej jak i finansowej przez Stany Zjednoczone, zwracając uwagę, że brak takiej pomocy spowoduje zwiększenie wpływów sowieckich w Chinach.

Dnia 28 czerwca b.r. biuletyn informacyjny *U.S. Information Service* podał, że Stany Zjednoczone sprzedały rządowi chińskiemu większe ilości amunicji karabinowej wyprodukowanej w czasie wojny, przeznaczonej dla Chin w ramach dostaw *Lend-Lease*. Amunicja ta jest w składach w Stanach Zjednoczonych, zaś transport jej do Chin będzie załatwiony przez rząd chiński.

Równocześnie Agencja podała, że Export-Import Bank Stanów Zjednoczonych rozważa przyznanie nowych kredytów dla Chin.

Cytowane powyżej wiadomości świadczą, że konflikt między rządem chińskim, a chińskimi komunistami znowu uległ zaognieniu. Rząd chiński, zwykle bardzo ostrożny w swoich oświadczeniach, ostatnio nie waha się wyraźnie oskarżać Rosji Sowieckiej o bezpośrednią interwencję w toczonej się wojnie domowej. Dla Stanów Zjednoczonych sprawa przyszości Chin ma znaczenie zasadnicze, dlatego, też wypadki rozgrywające się na Dalekim Wschodzie zastępują na baczność uwagę.

## GROŹNE NIEBEZPIECZEŃSTWO

Już z górą rok temu prasa katolicka w Polsce uderzyła na alarm z powodu szerzącego się w kraju nagminnie pijaństwa, podkreślając specjalnie groźny — przed wojną niemal zupełnie nieznaną — fakt systematycznego upijania się wódką przez dzieci. Jest rzeczą charakterystyczną, że pisma reżimowe pomijały zupełnym milczeniem tę klęskę społeczną, a Państwowy Monopol Spirytusowy nie miał niczego lepszego do roboty, jak ogłaszać swe wyroby w czasopismach dla młodzieży wydawanych przez P.P.R.-owy "Związek Walki Młodych". Wódka nadal należy do najtańszych produktów w Polsce i mimo rosnącej fali drożyzny cen jej nie podniesiono. Ludzie w kraju przypominają, że podobnie było za okupacji niemieckiej, kiedy Niemcom specjalnie zależało na rozpijaniu społeczeństwa.

Dopiero ostatnio także niektóre periodyki reżimowe, n.p. krakowski *Przekrój*, zamieściły



kilka artykułów na temat alkoholizmu, szeregającego się w niebywałych do tej pory rozmiarach. W praktyce jednak do walki z nim stanęły jedynie aktywniejsze jednostki spośród duchowieństwa katolickiego. Poważniejsze rozmiary przybrała ta akcja w Wielkopolsce; na zebraniach zwoływanych przez księży parafianie składają przysięgę, że wyrzeką się pijaństwa.

Ostatnio Paweł Jasienica na łamach krakowskiego *Tygodnika Powszechnego* (z dnia 6 lipca b.r.) we wstrząsającym artykule p.t. "De Profundis" zwraca uwagę na katastrofalne rozpowszechnienie się w kraju chorób wenerycznych, w szczególności najbardziej niebezpiecznej z nich: kity (syfilisu). Terenem głównego ich nasilenia są Ziemia Odzyskana. Lekarze obliczają — pisze Jasienica —, że co szósty mieszkaniec Wrocławia chory jest na kile. W Gdańsku na 130 tysięcy mieszkańców chorych jest 45.000 t.j. więcej niż jedna trzecia. Ogólna liczba cierpiących na choroby weneryczne w całej Polsce obliczana jest na około 3 milionów osób, co oznacza, że zakazana jest co ósma osoba.

Pisząc o źródłach tej klęski Jasienica stwierdza, że "pierwszorzędną rolę grało tu rozpasanie upojonego krwią żołnierza walczących armii oraz uchodźcze i szabrownicze *va banque*". Skąd inąd — o czym autor artykułu oczywiście nie wspomina — wiadomo, jak wielką rolę w rozpowszechnieniu chorób wenerycznych w Polsce i w krajach sąsiednich odegrały gwałty, popełniane przez żołnierzy sowieckich.

Do dalszego rozpowszechnienia się chorób wenerycznych przyczynił się — jak stwierdza Jasienica — powojenny upadek obyczajów, niebywała przedtem łatwość "zawierania znajomości", pijaństwo, nieustanne wędrówki tysięcy rzesz ludzkich, oraz fakt, że ludzie, gdy tylko znikną powierzchowne oznaki choroby, uchylają się na ogół od dalszego jej leczenia. Niemcy za swej okupacji stosowali przymus leczenia — po wojnie został on w kraju zniesiony. Na domiar złego rozmiary opieki lekarskiej są najzupełniej niewystarczające. Tak np. Klinika Dermatologiczna i Szpital Św. Łazarza w Krakowie rozporządzają razem 68 łóżkami dla osób chorych na choroby skórne (w Polsce jest ok. 30.000 chorych na gruźlicę skóry) i weneryczne, a tymczasem odnośny rejon, który trzeba obsłużyć, obejmuje: miasto Kraków, województwo krakowskie, rzeszowskie, kieleckie, oraz część Ziemi Odzyskanych.

W konkluzji autor nawołuje do powiększenia materialnych środków walki z klęską chorób wenerycznych oraz do wprowadzenia obowiązku każdego chorego leczenia się i wskazania osoby, od której się zaraził. Równocześnie jednak Jasienica wyraża przekonanie, że zarządzenia te nie wystarczą, o ile nie nastąpi ogólne podniesienie poziomu moralnego i nawrót do czystości obyczajów.

"Groza zniszczenia siły biologicznej narodu — alarmuje Jasienica — jest realna i bliska. Nie zdajemy sobie sprawy, że przy wtórce makabrycznego *tria* — syfilisu, gruźlicy i wódki — pomalą a gruntownie gnijemy".

### POD GWIAZDĄ DANTONA

Prawdopodobnie w związku z ustępem przemówienia red. M. E. Rojka na zebraniu publicznym Stronnictwa Narodowego w Londynie, który drukujemy na innym miejscu niniejszego numeru "Myśli Polskiej", organ P.P.S. "Robotnik Polski w Wielkiej Brytanii" (lipiec 1947) zamieścił następującą krótką notę:

"Sojaliści polscy, przebywający na obczyźnie, winni się przygotować do odparcia kampanii szantażu politycznego, którą przeciw nim podejmują ugrupowania obozu 'sanacyjnego' i obozu nacjonalistycznego. Ugrupowania te utworzyły potajemnie koalicję anty-socjalistyczną, wykonały z po-

zornym powodzeniem szereg manewrów taktycznych o ostrzu wyraźnie zwróconym przeciw P.P.S., poczem zażądały usankcjonowania przez P.P.S. nieprawych zysków zjednoczonej prawicy. Sankcji tej nie będzie, a rozstanie się z wojennymi 'dziwnymi towarzyszami łoża' powitało na lewicy powszechne westchnienie ulgi. Tym samym zaproszenie do tworzenia wspólnego 'frontu antykomunistycznego', złożone na publicznym zgromadzeniu Stronnictwa Narodowego, sojaliści odrzucają. Sojaliści widzą zbyt dobrze z dawnych i świeżych doświadczeń, co ukrywa się pod takimi i zewaniami.

"Natomiast z zadowoleniem notujemy utworzenie *Koncentracji Demokratycznej*. Znamy wszystkie trudności, jakie przed nią stoją, ale ufamy, iż im nie ulegnie. Niechaj pamięta o rewolucyjnym hasle Dantona: *Odwagi!*"

Niestety, choć od Rewolucji Francuskiej minęło 158 lat, autor owej notatki bezustannie szturmuje w swojej wyobraźni zawałone już od dawna mury Bastylii. Stąd też i styl jego przypomina bardziej sankiulotów, niż nowoczesnych i odpowiedzialnych za swe słowa polityków. Papier jest cierpliwy i można na nim ile się chce wypisywać o "szantażu", ale używanie obraźliwych słów i gołosłownych zarzutów nigdy nie zastąpi w prawdziwym działaniu politycznym dowodów i argumentów.

Zapatrzenie się w Rewolucję Francuską tak osłabiło wzrok autora notatki, iż nie dostrzega on sanacji przy swoim boku w *Koncentracji Demokratycznej*. Cenne jest natomiast to przyznanie się do westchnienia ulgi z powodu rozstania się z wojennymi "dziwnymi towarzyszami łoża". Jakkolwiek termin jest angielski, zapewne: "odd war-time bed-fellows", sam uraz psychiczny wobec ogólnonarodowej koalicji politycznej płynie raczej z podświadomości "poputczika", tkwiącej niestety w dziedzictwie umysłowym niektórych kontynentalnych socjalistów, niż z obcowania umysłowego z socjalizmem brytyjskim. Labour Party nie wahała się co do sojuszu z konserwatystami, kiedy cały naród stanął do walki na śmierć i życie z wrogiem zewnętrznym. I dlatego też Labour Party jest czymś więcej niż partią wiecznych protestowców przeciw każdemu przedsięwzięciu nie na klasową lecz narodową skalę.

Nie wiemy, jakie doświadczenia socjalistyczne ma na myśli autor notatki. W każdym razie nie mogą to być doświadczenia ze współpracy ze Stronnictwem Narodowym, ale chyba ze sanacją. Co się zaś tyczy nowego, dantonskiego, hasła dla *Koncentracji Demokratycznej*, to na wszelki przypadek przypomina tu, że wzorowanie się na Dantonie nie może przynieść *Koncentracji* nic dobrego. Więcej energiczny niż dalekowzroczny ten polityk dał gardło pod gilotyną, zaprowadzony na szafot nie przez prawicę francuską, ale właśnie przez lewicę. Pozwolimy też sobie zanotować tu na użytek P.P.S., że wedle opinii poważnych historyków "Danton padł ofiarą w większym stopniu małoduszności swoich przyjaciół, niż zaciekłości swoich przeciwników". Więc lepiej ostrożnie z tą "skoncentrowaną demokracją".

### JACOBOWSKY W BERLINIE

Publicysta krakowskiego *Przekroju*, p. Edward Osmańczyk, który niedawno na łamach tego pisma tak zachwycił się antypolskim paszkwilem Werfla *Jacobowsky und der Oberst* i spowodował jego przetłumaczenie na język polski, ostatnio niemało w tym zakresie oprzytomiał. Spowodowała to prawdopodobnie reakcja czytelników polskich oraz — widzów niemieckich. Sztuka Werfla wystawiona mianowicie została w jednym z teatrów w amerykańskiej strefie Berlina i cieszy się

tam niebywałym powodzeniem. Osmańczyk poszedł na jej przedstawienie i w rezultacie przestał uważać postać pułkownika polskiego za "znakomicie podpatrzoną".

"Karykaturalny pomnik, wystawiony przez Werfla emigracyjnemu Polakowi Umieralskiemu (nazwisko to brzmi w oryginale Sterbinski — przyp. red. "M.P."), — pisze teraz Osmańczyk w *Przekroju* — podziwiany jest przez wszystkie narody, a obecnie w procesie demokratyzowania Niemiec i przez naród niemiecki. Dawno nie widziałem Niemców tak rozpromienionych i z takim entuzjazmem bijących brawo, jak na przedstawieniu w Hebbel-Theater. Karykatury Szabuniewiczza (ordynans pułkownika — przyp. red. "M.P.") i Umieralskiego odpowiadają całkowicie niemieckim wyobrażeniom o Polakach. Kiedy Jacobowsky zarzuca Umieralskiemu, że mógłby on być z powodzeniem Hitlerem i że za zwycięstwa Hitlera odpowiedzialna jest Polska, Francja i Anglia, sala wyje z zachwytu i oklaskom nie ma końca.

"Hebbel-Theater znajduje się w strefie amerykańskiej i wystawia sztuki jedynie za zgodą władz kontrolnych amerykańskich".

Dodajmy do tego, że niemal równą osobliwością jest ukazanie się na ekranach krajów anglosaskich sztuki *Frieda*, która ostatnio przerobiona została na film. Głównymi postaciami są w niej, jak wiadomo, "dobra Niemka", pochodząca z Polski zachodniej, oraz "zły Niemiec", urodzony w Poznaniu, który w sztuce występuje w mundurze II Korpusu Polskiego z naszywkami *Poland* na ramionach. Film jest specjalnie reklamowany, zasługuje jednak na uwagę okoliczność, że został na ogół pominięty milczeniem przez recenzentów.

### KURTYNA MORALNA

Uplęnięto już sporo czasu od dramatycznej alternatywy wyboru: wracać, czy zostawać? Pracować dla Polski tutaj — czy tam? Dla wielu, obciążonych obowiązkami rodzinnymi czy też innymi tego rodzaju, ów ciężki wybór stoi nadal przed oczami, choć szczególne położenia za "żelazną kurtyną" są powszechnie i wystarczająco znane. W chwili obecnej wszelkie hamletyzowanie jest tragedią z nieprawdźliwego zdarzenia. Dziś, t.zn. po przykładzie Mikołajczyka, przykładzie referendum, wyborów, komedii procesów, dalszego rozwoju "przyjaźni polsko-radzieckiej", grabienia i terroryzowania społeczeństwa, bezwzględnej walki o jego duszę od lat najmłodszych — od szkoły; dzisiaj: po kompromitacji wszelkich oportunistów, udających tylko odbudowę kultury polskiej — powtarzamy: pora na hamletyzowanie i *psychiczny* wybór dawno minęła. Istnienie trudna, ale zbyt już wyraźna kurtyna moralna, oddzielająca zespół obowiązków Polaka od zespołu jego słabości, czy tchórzostwa i oportunistów aż do zdrady włącznie. Jednolita była opinia polska na niedawne występy p. Paszkiewiczza, byłego generała Wojsk Polskich, obecnie słynnego "pogromszczyka". Powszechnie obrzydzenie towarzyszyło niedawnemu wystąpieniu p. Ligockiego, obrzucającego błotem zmarłego Prezydenta Rzeczypospolitej w okresie jego pogrzebu. Niejedną zdecydowaną odprawę znalazł t.zw. pozytywizm p. Ksawerego Pruszyńskiego, którego zawodem po powrocie do kraju stało się realizowanie propagandowe linii PPR-u w odniesieniu do emigracji i polityki polskiej.

Dla niektórych, dla tej garstki, która wicnie wyglądać będzie szczęśliwego wiatru i stosownej okazji, muszą się ciągle fatygować za granicę różnego rodzaju *personae gratae* reżimu p. Bieruta, od Borejszy zaczynając na Iwaszkiewiczza kończąc. Z uporem, świadczącym o ważności wolnego ośrodka myślowego na emigracji, oraz irytacji jaką on dotychczas sprawia okupantom Polski, odwie- dzają co pewien czas stolice zachodniej Europy,



## PRZEGLĄD WYDAWNICTW

DYWIZJA PANCERNA W WALCE. Praca zbiorowa. Bruksela, 1947. Stron 401, 2 nl. i LXXV.

WIELE uwag, które wypowiedział tak pieknie p. Jan Bielatowicz o Drugim Korpusie w marcowym zeszytzie *Myśli Polskiej*, można zastosować do 1. Dywizji Pancernej. Radzi jesteśmy, że świeżo wydana praca zbiorowa żołnierzy tej dywizji nastęrcza ku temu sposobowi.

Wdzięczna to rola rozpamiętywać dokonania polskiego czynu zbrojnego. Wdzięczniejsza na pewno od oceniania politycznego rozmiaru walki, choćby tylko dlatego, że w pierwszym wypadku można przemilczeć Teheran i Jałtę, a nabrać szerokiego oddechu, wywołując imiona Monte Cassino i Bolonii, Chambois i Falaise.

Jeśli kto musi dzieje swego wysiłku wojennego naciągać i wydymać, to już na pewno nie Polacy. Zrobiliśmy wszystko co było można, zaiste w nadmiarze. W tej próbie zgnieśliśmy i tę główną — rzekomo — narodową wadę: ogień słomiany, jakim palić się zwykli jakoby nasz zapal.

Marynarka w pięcioletniej Bitwie Atlantyckiej, potężniejsza u jej schyłku niż w początkach; lotnictwo zniszczone w Polsce i we Francji, a odrodzone już do Bitwy o Wielką Brytanię, podwojone na czas szturmów ostatecznych; wojsko zmiażdżone przez stalową nawałę niemiecką w Polsce, przedzierające się przez kordony graniczne do Francji, tam w części znów otworzone, po raz drugi pobite i zbierające się znowu na wyspach brytyjskich, czy na piaskach afrykańskich; wojsko zmartwychwstałe z sowieckich lagrów i więzień, zwolujące się po bezmiarach Rosji, wędrujące potem światami na pozycje wyjściowe na południu Europy; armia podziemna w Polsce, zwarta w wieloletnim zmaganiu z wrogiem; a wreszcie zryw ostateczny tych wszystkich sił, uderzenie w Niemcy od zachodu i południa, uwieńczone zwycięstwami i pościgiem armij, które były postrachem całego świata.

Gdzież tu "słomiany ogień," gdyśmy umieli lata całe gotować się na chwilę odpłaty i osiągnąć ją zarówno na obczyźnie, jak i w Polsce, (jeśli kłękę w Warszawie uznać za cios w plecy, zadany przez "sprzymierzeńców" wschodnich)

Zawiązkowi 1. Dywizji Pancernej (wywodzącej się w prostej linii z 10. Brygady Kawalerii, zmotoryzowanej wiosną 1937 roku, walczącej w ciągu kampanii wrześniowej, drogą na Węgry odzyskanej w dużej części we Francji, bijącej się tam powtórnie i znów odrodzonej w W. Brytanii), który w drugiej połowie 1940 roku zbierał się w Szkocji — los wyznaczył na lat cztery koleje łaskawe, zgoła różne od cierniowej drogi żołnierzy przyszedłego Drugiego Korpusu. Nie ma czego owijać w bawełnę — wojsko w Szkocji było "londyńskie" i kwita. Cóż tam miało za zmartwienia, oprócz tęsknoty za krajem? Co najwyżej nieustanne reorganizacje, tak świetnie opisane w książce, i trochę pracy i niewygód przy organizowaniu obrony na wybrzeżach Szkocji. Nie była ona wprawdzie Kapuą, ale pomawiano o wiele rzeczy "Brytanów." Dobre ćwiczenia przewyciężyły okres bezruchu, a dobra krew dokonała reszty.

Analogie z Drugim Korpusem zaczynają się na krótko przed wyruszeniem Dywizji na kontynent. Wstępem do nich była kampania obcej agentury, usiłująca bezskutecznie, choć hałaśliwie, wzniecić w jej szeregach różnicę narodowościową.

Drugie podobieństwo leży w świetnych zwycięstwach początkowego uderzenia i w pościgu bezpośrednio po nich. Monte Cassino i Chambois - Falaise są zwycięstwami rozstrzygającymi dla frontu zachodniego: pier-

wsze zdecydowało o zdobyciu Rzymu i przebiegu całej kampanii włoskiej, drugie — o uwolnieniu Francji. Różnica polskiego udziału w obu polega na tym, że pod Chambois - Falaise Dywizja nie była samodzielny twórcą całości manewru, lecz wykonawcą jednego z ogniw, ognia najważniejszego. Dywizja "zakorkowała butelkę," z której na próżno starali się wydość Niemcy w sile dwóch wyborowych korpusów pancernych.

Wielka szkoda, że w księdze dywizyjnej nie znajdujemy syntetycznego opisu i graficznego przedstawienia całości bitwy, które dawałyby jej obraz ogólny, tak wyraziście odtworzony w ogłoszonym dawno już temu raporcie gen. Eisenhowera, albo w książce marsz. Montgomery'ego i w innych źródłach drukowanych. Brak ten powoduje, że pomimo częściowych dobrych wyjaśnień i opisów ppłk. Stankiewiczza, ppłk. Koszutskiego, A.S. i innych — rola Dywizji w tej historycznej bitwie nie wychodzi tak plastycznie, jak powinna. Nawet i najbardziej zbliżający się do celu przedruk z brytyjskiego czasopisma "Tank" luki tej nie wypełnia. Pomimo skromnych założeń komitetu redakcyjnego, który postawił sobie za zadanie dać tylko luźny zbiór wspomnień i chronologiczny opis wydarzeń, była to sposobność zbyt dobra i bitwa zbyt wielkiej miary, aby ich — w dziele 400-stronicowym — w pełni nie wykorzystano.

Również niedomówienia co do wewnętrznej mechanizmu działań Dywizji (n.p. geneza ruchu na Champeaux) wychodzi raczej na szkodę dramatyczności i wielkości tej bitwy. Była ona przecież, jak trafnie podchwyciono w książce, "Psiem Polem — 1944 roku."

"Szlak Drugiego Korpusu prowadził przez wiele krajów — mówi Bielatowicz. — Wszędzie tam rozpowszechniała się sprawa polska i wszędzie rozumiano, że taka armia należeć musi do narodu wielkiego, szukającego sprawiedliwości." To samo odnosi się do Dywizji Pancernej, która przypomniała tę sprawę Francuzom, a uświadomiła naocznie Belgom i Holendrom.

Wreszcie i akcja społeczna Dywizji, rozwinęta wśród polskiego jasyru w okupowanych Niemczech, któremu nie dane było runąć do do ojczyzny szlakiem triumfalnym naszych szandarów, — nasuwa jedną jeszcze analogię. Choć założenia tej pracy były raczej doraźne i bezpośrednio, mogące być przyrównanymi tylko do pewnej strony lub stadium dzieła społecznego Drugiego Korpusu, — jej wyniki były ogromne i pozostaną na zawsze we wdzięcznej pamięci narodu.

Wszystkie te podobieństwa rodzinne występują przy czytaniu pięknej książki Dywizji Pancernej, najmniej wyraźne jest jednak ostatnie, pominięte przez redaktorów ze względów chronologicznych, księga Dywizji obejmując bowiem tylko wspomnienia bojowe. Pobudza to recenzenta do ponownego wystąpienia z krytyką, ponieważ sądzi, że cykl działalności wojennej jednostek polskich w ciągu Drugiej Wojny Światowej bynajmniej nie urywa się mechanicznie na dacie zawieszenia broni. "Wiemy, że Dywizja Pancerna, kwiat rycerstwa polskiego — jak mówił w rozkazie do gen. Maczka 20 maja 1945 roku p.o. Naczelnego Wodza gen. Anders — rozumie to najlepiej, że walka o Polskę nie jest jeszcze skończona." To też opis czynów bojowych Dywizji możemy traktować tylko jako część pierwszą wspomnień z Drugiej Wojny Światowej, domagając się ich koniecznego uzupełnienia opisem działalności społecznej po ustaniu walk. Tylko w ten sposób cykl wspomnień znajdzie naturalne i logiczne zamknięcie.

Księżkę wydano i opracowano graficznie z wielkim nakładem pieczołowitości i starania,

a specjalnie stolicę "londyńczyków" różnego rodzaju postawie tej gorszej strony człowieka. Przyjeżdżają ci obywatele z odczytami, wystęпами, wieczorami autorskimi i po kawiarniach polują na ten procent nigdy niewyczerpany: *minorum gentium*. Po takiej wizycie w reżimowych pismach w kraju ukazują się zwykle parę artykułów "stamtąd". Są one przeważnie jeszcze jednym smutnym przeżyciem dla Polaków w kraju. A w sumie chodzi o kompromitowanie w oczach społeczeństwa jedynego wolnego środowiska polskiego, o pokazanie krajowej dorobku emigracji wojennej w krzywym zwierciadle Stonimskich, Pruszyńskich, Meissnerów i Grabowskich. Takie to właśnie zespoły importują do Polski "neopozytywizm", "rewizjonizm historyczny", czy też swoistego rodzaju "egzystencjalizm".

Ostatnio właśnie już po odezwie Związku Pisarzy Polskich, piętnującej brak kręgosłupa moralnego i przedzieranie kurtyny moralnej, oddzielającej rzeczywistość służbę Polsce od służby jej wrogom, — na łamach szwajcarskiego tygodnika *Pod Prąd* ukazał się obszerny list "egzystencjalisty" Z. Grabowskiego, — karykatura tych wszystkich hamletów, których niezczęściem jest to, że nie ma na nich żadnego Szekspira, co by ich w ostatniej scenie w sposób nagły, choćby literacki tylko, unieszkośliwił.

"Nie widzę potrzeby tworzenia żelaznej kurtyny przez Polaków przebywających na emigracji" — tłumaczy p. Grabowski swoją gotowość współpracy z p. Borejszą i *Przekrojem*. Mówienie o żelaznej kurtynie, tworzonej przez emigrację polską, jest należnym homagium złożonym nowemu porządkowi w Polsce. Dla nas jest takie zdanie uchYLENIEM kurtyny, za którą panuje kompletna ciemność i pustka moralna. Niewielka zapewne będzie strata, jeśli się skończy na p. Grabowskim; są jednak jak wiadomo w świecie psychicznym zjawiska nieskończone. Tak je przynajmniej określa znane przysłowie ludowe.

I jeszcze jedno. Sprawa może w ogóle nie warta by była noty, gdyby nie szczególne pomieszanie pojęć, jakie w tej dziedzinie od czasu do czasu przejawia się nawet w szerszych kołach emigracji. Do takiego pomieszania pojęć zaliczamy ogłoszenie (choćby płatne) w *Dzienniku Polskim* wieczoru autorskiego p. Iwaszkiewicza. Do takich zjawisk należy również idylliczna symbioza w tutejszych kioskach polskich: w zgodnym sąsiedztwie obok czołowych pism antypolskich, jak np. *Kuźnica* i *Przekrój*, leżą pisma polskie. Jest to nieświadome (zapewne) zacieranie bardzo istotnej granicy, o której właśnie mówimy. Różnica między tymi pismami jest zasadnicza, taka, jak w czasie wojny w kraju między prasą jawną a prasą podziemną.

## PAMIĘTAJ,

że "Myśl Polską" czytają rodacy we wszystkich skupiskach polskich rozsianych po świecie,

że przepisy dewizowe większości krajów nie pozwalają czytelnikom przekazywać prenumeraty,

że wobec tego pokrycie kosztów wydawnictwa maleje.

Jeżeli doceniasz wagę istnienia i rozwoju naszego pisma, zasil Fundusz Wydawniczy "Myśli Polskiej".



pomimo że praca odbywała się w warunkach bardzo trudnych i dokonana została wyłącznie rękoma żołnierzy. Wielką wartością dokumentalną odznaczają się zdjęcia i dodatek graficzno-statystyczny, wykonany na przeszło 60 stronach welinowego papieru p.t. "Tablice oddziałów 1. Dywizji Pancerniej." Znajdujemy w nim m. in. reprodukcje sztandarów pułkowych i odznak oddziałowych. Z tych ostatnich — podobnie do odznaki dywizyjnej radziliśmy przenieść na początek książki ze względu na jej skoncentrowany, symboliczny sens, w jednym błysku, jednym rzutem oka łączący towarzyszy pancernych dzisiejszych z nieśmiertelną husarią. Podane na karcie tytułowej hieroglificzne "streszczenie" odznaki daje o jej znaczeniu i pięknie zaledwie mgliste pojęcie.

Żołnierze — redaktorzy i żołnierze — wydawcy dobrze zasłużyli się swojej jednostce i ogółowi. Stworzyli dzieło pełne autentyczności, nie potrzebując się nań wysilać.

Nie wysilali się również i na humor, dając jego próbki w najlepszym gatunku, jak n.p. opowieść o dowódcy szwadronu czołgów, który meldował przez radio, że znajduje się w ogniu, a na żądanie przelotnego, chcącego wiedzieć z czego do szwadronu strzelają, odpowiedział: "Z kukurydzy." Albo opowieść o strzelcu wieżowym, mdlejącym podczas bitwy z gorącą, który "w takiej historycznej chwili — rzucał wiktem."

Jeśli o książce wypowiedzieliśmy krytyczne uwagi, to tylko w tym celu, aby przyczynić się do ulepszenia przyszłych jej wydań, na pewno licznych.

Czekają na nią szerokie rzesze Polaków, żądnych świadomości, że ich ofiary znalazły zadośćuczynienie chociaż częściowe, że krzywdy zostały odplacone.

#### SETNY

**Lord Vansittart: EVENTS AND SHADOWS.** London, 1947. Hutchinson and Co., Ltd. Stron 196. Cena 10s. 6d.

Ostatnia książka lorda Vansittarta jest, jak prawie wszystkie książki tego autora (bo, zdaje się, wydał także tomik poezji), rozprawą polityczną. Kim jest Vansittart nie potrzeba tłumaczyć czytelnikowi polskiemu, jako tako obeznanemu z teatrem politycznym angielskim i głównymi jego aktorami. Należy on niewątpliwie do trzeźwiejszych i przenikliwszych polityków angielskich, do kategorii stosunkowo nielicznej tych, którzy nie zatracają samodzielności myślenia, mają odwagę wypowiadania swych poglądów i nie podporządkowują się bez reszty oficjalnej linii polityki wyznaczonej przez Foreign Office lub przez milczące porozumienie partii rządowej i opozycyjnej.

Zresztą i ta jego lotność i samodzielność sprowadza się jak gdyby do zdolności szerszego przewidywania przyszłych wydarzeń. Vansittart w propagowanych przez siebie tezach i postulatach wyprzedza oficjalną politykę brytyjską i ciągnący się za nią ogon opinii publicznej o rok lub czasem o parę lat. Tak było z jego stanowiskiem w sprawie niemieckiej, choć autor publicznie sformułował je dopiero w czasie wojny w słynnym swoim *Black Record*, gdy już program antyniemiecki był w pełni wykonywany, bo nie było innego wyjścia. Tak może być i z jego tezami, którym daję wyraz w ostatniej swej książce, a domagającymi się usztywnienia postawy wobec Rosji i realizowania idei bloku zachodniego.

Jeżeli wydarzenia pójda po tej linii, to będzie to w mniejszym stopniu zasługą Vansittarta, co po prostu wynikiem postępowania "Moskali", jak władców Kremla nazywa Vansittart (*the Moscovites*). Wypowiada on głośno to, co myśli już i do czego dąży zapewne wielu kierowników polityki brytyjskiej, którzy przecież będąc na ogół w defensywnym muszą dostosowywać swą akcję do linii działania

Moskwy. W dzisiejszym świecie polityki międzynarodowej czynnikiem dynamicznym, czynnikiem aktywnym, jest Moskwa. Jej polityka stwarza ciągle nowe sytuacje. Mocarstwa anglosaskie, które jedyne na całym świecie nie zatraciły jeszcze zupełnie swobody ruchów i pewnej samodzielności, odgrywają jednak rolę bierną i zachowują postawę obronną. Mają jeszcze zdolność reakcji, z którą Moskwa musi się liczyć. Nie należy z tego stanu rzeczy zresztą wysnuwać wniosków pesymistycznych. Na parę lat przed Drugą Wojną Światową Hitler i Mussolini również byli niezmiernie dynamiczni i aktywni i oni nadawali ton polityce światowej. Demokracje zachodnie uprawiały zrazu politykę "appeasementu", przechodząc następnie do powolnego montowania obrony przed zalewem "osiowym". Im bardziej zwiększała się ekspansywność niemiecka, tym bardziej rósł opór, tym silniej zwierał się front antyniemiecki, najpierw w czasie niepewnego pokoju, a później w czasie wojny. To samo już na oczach naszych powtarza się jako reakcja na ekspansję sowiecką.

Czytelnik wybaczy tę dygresję, inspirowaną zresztą przez wywody samego Vansittarta, który stwierdza, że "Moskale przyjęli politykę niemiecką". Pocięsza się on jednak myślą, że tym razem nie dojdzie do katastrofy, jeżeli tylko Zachód w porę zda sobie sprawę z celów i metod polityki rosyjskiej i nie pozwoli się przez jej propagandę i zasłony dymne (w postaci argumentu o "bezpieczeństwie") wprowadzić w błąd. Oto zalecenia Vansittarta: "Nie dowierzaj Moskałom i zachowuj się jowialnie, a będziesz czuł się dość znośnie w ich towarzystwie. Jest rzeczą zgola możliwą dojdź do praktycznego porozumienia z nimi i ich ociągającymi się satelitami, jeśli będziemy mieli się dobrze na baczności" (str. 14). Vansittart pragnie ułożenia się przyjaznego stosunków anglo-sowieckich. Jego recepty są pokojowe i służyć mają raczej tylko do pohamowania ekspansji sowieckiej o tyle, o ile ona zagraża interesom a nawet istnieniu W. Brytanii. Jest on zwolennikiem metody otwartości i nie owijania w bawełnę niczego w stosunkach dyplomatycznych z Rosją Sowiecką, (przypomina pod tym względem gen. Martela, o którego książce niedawno pisaliśmy). Nie waha się on nazywać systemu sowieckiego totalitaryzmem i stwierdzać, że jest on zgola obcy duchowi Zachodu, który musi się bronić przed nim wszystkimi siłami. Dostrzega on w Rosji renesans idei Trockiego o rewolucji światowej. Zbrodnią Trockiego było tylko to, że usiłował rozpocząć tę rewolucję zbyt wcześnie. Moskwa chce przy tym sprzymierzyć się z odpowiednio spreparowanymi Niemcami. Umysł niemiecki są obecnie w stanie fermentu, a zwolennicy orientacji wschodniej są bodaj w przewadze.

Vansittart stawia program integracji Zachodu jako środka samozachowawczego. Realizacja tego programu ma też uspokoić rozkiełznane ambicje sowieckie i działać atrakcyjnie na zachodnie przynajmniej Niemcy.

Autor dobrze orientuje się w istotnym położeniu Polski i w polityce sowieckiej wobec Polski. Mówiąc jednak językiem buchalteryjnym odparł na Europę Środkowo-Wschodnią na konto strat. Polityka Zachodu jest ciągle w defensywie.

(m.ost)

**H. R. Trevor-Roper: THE LAST DAYS OF HITLER** London, 1947. Macmillan and Co., Ltd. Str. 263.

Flaubert, analizując trywialny i banalny sposób myślenia, trzy postacie swojej wyobraźni obdarzył darem mówienia komunałów.

Życie jednak jest tak pełne niespodzianek, że nie tylko filozofom ale i utalentowanym autorom o nich się nie śniło. Oto Trevor Roper, młody historyk z Oxfordu, obdarzony umysłem pokrewnym do অপেকারza Homocis, zabrał się do pracy nad demologią. Wystarczy spojrzeć na jego zaciętą twarz pozytywisty w okularach, aby zrozumieć, że tam gdzie potrzeba słów godnych Apokalipsy, albo doświadczeń świętego proboszcza z Ars, sprawi każdemu czytelnikowi zawód. Niemniej praca tego policjanta, oczytanego w powieściach kryminalnych, jest ciekawa i pożyteczna. Wykonał ją sumiennie. "The Last Days of Hitler" są doskonałym podręcznikiem, pełnym faktów, opartych, o ile to możliwe, na wiarygodnych i opracowanych zeznaniach. Kto może w opininie je przeczytać, a Polacy mogą je czytać nie tyle z przyjemnością, co z uczuciem dumy i pociechy, aby przekonać się wedle słów wielkiego poety:

"Jak beznadziejnie . . . kończą się na ziemi wszystkie ziemie zbrodnie."

Kto wie zresztą, czy niezwykła przeciętność autora nie jest dobrą przygrzywką do tematu? Fakty jakie zebrał i podaje mówią same za siebie. Po śmierci Hitlera przyszła kolej na gromadne samobójstwo rodziny Goebbelsa. Trevor Roper pisze: "Przed wszystkim zostało otrutych sześcioro dzieci; dr. Haase, dworski chirurg, ten który zlikwidował psy, miał się podobno zająć i nimi, ale to nie jest całkiem pewne".

Bez dokumentów i to licznych nie odtwożyłby Trevor Roper tłumy doktorów, szarlatanów astrologów będących dworskimi zausznikami niemieckich satrapów. Najtrudniejsze do zrozumienia w tym gronie szaleńców i zbrodniarzy są iluzje dotyczące władzy, którymi wszyscy po kolei byli zahipnotyzowani, oraz krwawa walka do ostatniej chwili o te strzępy iluzji. Ściśnięci już byli w obrożę śmierci i tego zniszczenia, które rozpętał nad Europą, a jednak wyobrażali sobie jeszcze, że knowania ich i zdrady mają jakieś znaczenie. Tym czasem tchnienie zła było tak potężne, że zabijano po drodze i takich, którzy chcieli się uratować.

Do rządu tych ostatnich należał sportowiec i właściciel stajni wyciągowej, szwagier Hitlera, bo żonaty z siostrą Ewy Braun, Herman Feglein. Ratował się ucieczką z podziemi Kancelarii Reichu, został dopadnięty i zamordowany, winny, czy niewinny, zupełnie niepotrzebnie, tylko dla zaspokojenia bezsilnej wściekłości Hitlera. Podobnie polegoło wielu innych z tych, którzy po śmierci Hitlera próbowali wyostać się przez płonący i bombardowany Berlin.

Po wielkiej wrzawie o potęgę Niemiec uderzająca jest ta właśnie nikczemność końca Goebbelsa, Himmlera i ich służalców. Trzeba koniecznie, aby Polacy tę książkę czytali. Gdy się porówna tę nicość i tę marność z naszym udziałem w wielkiej wojnie wielkość naszej sprawy jaśniej w całej pełni. Daremnie w rozpacz staramy się ją umniejszać.

J. A. Z.

Ukazano się w druku  
trzecie wydanie dzieła

ROMANA DMOWSKIEGO

**POLITYKA POLSKA  
I ODBUDOWANIE PAŃSTWA**

w dwóch tomach; stron 258 i 168.

Do nabycia w administracji "Myśli Polskiej."



## KULTURA I ŻYCIE

Sztuki sezonowe — Cowald bez obrazu — Chińska groteska — Psychiatria dla mas—

Szymanowski w radio — Muzeum paryskie

SKORO mówimy o sezonach w życiu kulturalnym, potwierdzamy tym samym istnienie i ważność tła socjalnego: odbiorca sztuki żyje w zespole, jego entuzjazm i obojętność wobec dzieł kultury faluje razem z przejawami zbiorowymi. Zarówno naiwny kult mody, jak i wyniosłe wyrozumiały snobizm tłumaczą w dużej mierze psychikę zbiorowości. Teatr zmienia swoje maski zależnie od sezonów: w lecie jego maska jest na tyle pstra, żeby przyciągnąć dostateczną ilość widzów, ale w kolorach maski mało witalizmu.

Typową sztuką sezonową jest popularny teraz w Londynie *Edward, My Son*, rzecz napisana przez Langleya oraz dobrego aktora, Roberta Morleya, który gra główną rolę w swoim utworze. Ta udatna sceniczna komedia, która w miarę rozwoju akcji przetwarza się w melodramat, oparta została na ogranym już dość tricku, a mianowicie bohater, o którym stale mowa (*Edward*, syn wspaniałego karierowicza *Arnolda Holta*) nie pokazuje się ani razu na scenie, życie jego natomiast determinuje w znacznym stopniu postępowanie rodziców. Efektowne zakończenia poszczególnych scen zdradzają pióro zawodowego aktora; ta sama zawodowość ujawnia się w dramatycznym powikłaniu sytuacji. Sztuka pokazuje wprawdzie sytuację typową (jak np. romans *Holta* z własną sekretarką), ale ta typowość została konsekwentnie przeprowadzona na scenie: rezultat ostateczny zostawia posmak oryginalności. Czy jest jednak do pomyślenia wznowienie *Edwarda* za kilka, lub kilkanaście lat? Sztuka prawdziwie sezonowa musi być pewnym sukcesem, ale za ten sukces płaci ona zwykle niepowtarzalnością efektu. Znakomita maska Morleya fascynuje w tym właśnie, a nie innym sezonie na specyficznym tle londyńskim roku 1947, — czy poza Morleyem potrafiłby ktokolwiek inny ożywić dziejące się za sceną losy *Edwarda*?

Sezonowość innego trochę typu, ale bardziej dla dzisiejszego widza zrozumiała, pokazuje swoje znudzone oblicze w komedii Cowarda *Design for Living*, wznowionej po latach przez niezbyt interesującą trupę teatralną w *Kings Theatre* na Hammersmith. Wznowienie zdemaskowało płytki dowcip, "szokujący" zaś pomysł (dwo artystów, *Leo* i *Otto* artystycznie współżyje z muzową wydrą, *Gildą*) wydaje się tak *altmodisch*, jak ostentacyjna czarna kokarda malarzy minionej epoki. Coward przedstawiał podobny konflikt w *Private Lives* i w *Blythe Spirit*, ale ta obsesja tematyczna niewiele pomogła jego sztuce dramatycznej: coś przeraźliwie sezonowego pokutuje w "szokujących" sytuacjach i w dialogu Cowarda, nawet jego filmy (*Brief Encounter* np., przerobiony udatnie ze sztuki *Still Life*) nie potrafią się wyrwać poza ciasne ramy efektywnej aktualności, choć autor mierzy czasem wysoko i rozwija patriotyczne flagi (*Cavalcade*).

Przed kilkunastu laty toczono namiętne spory o Cowarda, Byrona powojennego teatru, ale — jak to zazwyczaj bywa z sezonowymi byronami — echo sporów z biegiem lat pobrzękuje coraz bardziej kasowo, a obraźliwa publiczność wystaje w kolejkach przed teatrem i pisze listy, prosząc o wznowienia. Coward już nie "szokuje", a wznowione *Design for Living* przypomina treść, choć nie przypomina humoru. Sezonowość jest upiorem teatru.

Kto jednak wywołuje upiory: autor czy publiczność?

Jedną ze sztuk Bernarda Shawa, która zachowała istic młodzieńczą świeżość, jest *Pygmalion*. Wznowienie tej komedii w *Lyric Theatre* na Hammersmith z *Brendą Bruce* w roli *Elizy Doolittle* pozwoliło raz jeszcze na ocenę oryginalnej wersji teatralnej w zestawieniu z późniejszą wersją filmową (wydana w edycji *Penguin*). Wersja filmowa posiada duże zalety, ale, pomimo wszystko, pierwowzór Shawa jest koncepcją wybitnie teatralną i ona właśnie decyduje o trwałości świeżości *Pygmaliona*.

*Lyric Theatre* na Hammersmith podtrzymuje tradycję najbardziej interesującego teatru w okresie letnim. Obecnie idą tam dwie nowe sztuki egzystencjalisty *Sartre'a*, który przed rokiem podbił intelektualny Londyn swoim *Huis Clos*. W nowych utworach dramatycznych (*Morts Sans Sepulture* i *La Putain Respectueuse*) *Sartre* mniej jest szczęśliwy w wyborze tematów, choć pozostaje wierny filozoficznej interpretacji swoich charakterów. Cokolwiek można powiedzieć o światopoglądzie *Sartre'a*, jedno pozostaje pewne: jako literat autor *Huis Clos* nie nadużywa sztuki dla celów dydaktycznych.

W *Mercury Theatre* była okazja zobaczenia sztuki amerykańskiego dramaturga i laureata Nobla, *E. O'Neill*a.

*S. S. Glencairn*, realistyczny obraz życia na statku, nazbyt może posłusznie poddaje się kanonom realizmu: tam, gdzie poezja wdziera się między tło i człowieka, zawsze uzależnionego od tego tła — prawda realizmu traci się przekonywającą i wymiguje się patosem.

Przed rokiem polecałszy naszym czytelnikom *Open Air Theatre* w *Regents Parku*, który znany jest ze swoich oryginalnych przedstawień szekspirowskich. Obecnie *Robert Atkins* wznowił tam tradycyjną sztukę chińską w znakomitym opracowaniu literackim *S. I. Hsiunga*, *Lady Precious Stream*. Gorąco zachwalamy to przedstawienie.

*S. I. Hsiung* potrafił pogodzić autentyzm tradycji z intelektualną atmosferą nowoczesnego teatru: stąd nawiązanie nigdy nie jest w jego wersji nieudolnym mizdrzeniem się do snobów, a groteskowa interpretacja charakterów nie posiada cech literackiego kompromisu.

Jak pięknie i niewymuszenie umie ta chińska historia bawić europejskiego widza, jak pouczająca jest prezentacja sceniczna *Atkinsa*!

Może pani *Wang*, żona jego ekscelencji pana premiera, wyda się niektórym sceptycznym widzom nazbyt angielska w swoim stosunku do męża, może także ogrodnik *Hsieh Ping-Kuei* nie zadowolony zwolenników pstry egzotyki... Tym niemniej *Lady Precious Stream* nie potrzebuje się obawiać opinii nawet najbardziej wybrednej publiczności, urok tej sztuki jest niewątpliwie trwałe. Kto widział nowoczesne w środkach technicznych sztuki Amerykanina *Thorntona Wildera* (np. *Our Town*) będzie miał podwójną satysfakcję estetyczną, oglądając chińską groteskę, zanglizowaną przez *Hsiunga*. *Wilder* bowiem nie wymyślił pierwszy wszystkich tricków scenicznych,

zastosowanych zarówno w *Our Town*, jak i w *The Skin of Our Teeth*.

Polskie życie kulturalne na emigracji pozostaje także pod znakiem teatru. Sezon polskich utworów dramatycznych w Londynie zaspokoili wreszcie długo odczuwany głód za polskim słowem w oprawie scenicznej. Oby tylko środowisko polskie potrafiło utrzymać narodową scenę na emigracji!

Cenzura amerykańska zachowuje się jak zażenowana stara panna, której stale ktoś próbuje opowiedzieć nieprzyzwoity dowcip. Hollywood rozumie dobrze, że film może być podniecającym narkotykiem dla wielu widzów, i próbuje przemycić tego rodzaju wzrokową pożywkę, mimo surowych upomnień panny cenzury. Widać to często w tytułach filmów, lub też w reklamie, streszczającej naiwne opowieści ekranu. *Dishonoured Lady* z *Hedy Lamarr* posługuje się wabikiem tytułu i odpowiednimi ostrzeżeniami reklamy: wygląd aktorki ma dopełnić reszty. Ale cenzura przefiltrowała wszystko przez swoją pruderię — i pozwoliła na pokazanie światu jeszcze jednej wersji skutecznego leczenia psychoanalizą. Psychoanaliza przesładuje twórców ciekawostek hollywoodzkich —, w pozornej naukowości siedzi banał, a w pozornej nowoczesności zagadnienia — staroświeckie traktowanie tematu erotycznego. Po co było wygiwać się głupawą psychoanalizą (która tak samo nieprzykonywająco wygląda na ekranie, jak amerykańskie rozprawy sądowe) skoro inklinacje bohaterki filmu są aż nazbyt oczywiste i pozbawione wszelkich komplikacji. *Dishonoured Lady* owija banalną sprawę, która rzadko kiedy bywa problemem, w pruderyjną pseudo-naukowość (ponieważ znudzona dama lubi zmieniać kochanków, autor scenariusza odwołuje się do kompleksu i każe psychiatrze pleść odpowiednie androny): w rezultacie powstała fantazja na temat niemoralności z wielce moralnym grymasem.

W dziesiątą rocznicę zgonu *Szymanowskiego* radio brytyjskie poświęciło mu specjalną audycję w *Trzecim Programie* dnia 6 lipca, która została powtórzona 16 tego samego miesiąca. Wystąpili w programie *Philip Levi* (fortepian) i *Blech String Quartet*.

Wielu Polaków wyjeżdża na kilka dni do Francji, korzystając z okresu letniego. Zainteresowanym sztuką warto przypomnieć, że w Paryżu istnieje nowootwarte *Musée de l'Impressionisme* w dawnym *Jeu de Paume*, oraz *Musée d'Art Contemporain* na *Avenue du Président Wilson*. Powstanie muzeum sztuki nowoczesnej było koniecznością, zważywszy jak wiele niedostatecznie umotywowanych dyskusji toczy się wokół zdobycy malarstwa ostatniego półwiecza. Niestety, jeśli wierzyć sprawozdawcom z Paryża, muzeum omawiane ma duże braki, choć niektóre obrazy są nabytkami o wielkiej wartości. Najbardziej reprezentacyjne dzieła malarstwa francuskiego znajdują się jednak nie w Paryżu, ale w *Museum of Modern Art* w Nowym Jorku, oraz w Moskwie. Dla turysty, który — jak na razie — nie ma okazji do odwiedzenia Nowym Jorku, a tym bardziej Moskwy, Paryż na pewno wystarczy.

Londyn, 20 lipca 1947 r.



## WYDARZENIE ARTYSTYCZNE

Do Londynu przybył na tydzień Teatr Dramatyczny II Korpusu z repertuarem obejmującym *Drogę Konrada* (wyjątki z dzieł Mickiewicza, Krasińskiego, Wyspiańskiego, Kasprzowicza i Żeromskiego w układzie L. Kiełanowskiego i W. Radulskiego), *Śluby Panięskie*, *Skalmierzanki* i komedię Niewiarowicza *Gdzie diabeł nie może*. Najwięcej trudu włożono w inscenizację *Drogi Konrada*, która może budzić pewne zastrzeżenia ze względu na wybór tekstu (niepotrzebny powrót do koncepcji "romantycznej" w Żeromskim po rozprawieniu się z nią przez usta Wyspiańskiego) ale za to została inteligentnie i starannie wyreżyserowana i obdarzona ciekawymi dekoracjami przez T. Orłowicza. Scena z maskami — wprost znakomicie pomyślana!

Najwięcej miłych słów należy się młodemu bohaterowi wieczoru konradowskiego (a później pomysłowemu Guciowi) p. Zbigniewowi Szczerbie-Blichewiczowi. Już samo opowiadanie pamięcie olbrzymiego tekstu niemal bez pomyłki budzić musi największe uznanie; gra jego spokojna i opowadana wypada najlepiej tam gdzie nie potrzeba zbytnio forsować głosu.

*Śluby Panięskie* były przedstawieniem bardzo żywym, raz jeszcze można się było przekończyć, ile wigoru językowego i werwy scenicznej posiada niestarzejący się Fredro. Jedyne zastrzeżenie, jakie można by zrobić, to pewna niekonsekwencja w potraktowaniu postaci komedii. Klara i Albin ujęli swe role zbyt może groteskowo, podczas gdy Gustaw i Aniela grali bardziej realistycznie. W sumie jednak wieczerę zaliczyć należy do wybitnie udanych. Najsłabiej wypadła może komedia współczesna, pewnie dlatego że wybrano jedną z gorszych rzeczy Niewiarowicza. Tekst ratowali jednak często aktorzy, zwłaszcza p. K. Dorwski, artysta b. wszechstronnie uzdolniony. Bardzo dobrze jako całość wypadło także przedstawienie *Skalmierzank*.

Teatr dramatyczny II Korpusu ma za sobą bogatą przeszłość. Od Iraku poprzez Palestynę, Egipt, Włochy aż do W. Brytanii niósł ze sobą słowo polskie tym, którzy go najbardziej potrzebowali. Bardzo żałujemy, że Teatr przyjechał do Londynu tylko na jeden tydzień, tym bardziej iż publiczność londyńska rozmakowała się w nim dopiero po kilku przedstawieniach. Czekamy z niecierpliwością na następną wizytę.

A.P.

## KSIĄŻKI NADEŚLANE

**Juliusz Kaden-Bandrowski**: **MIASTO MOJEJ MATKI**. Rzym, 1946. *Instytut Literacki*. Skład główny: The Vistula Press Ltd., 45, Cromwell Road, London, S.W.7, Stron 143. Cena 4s. 6d.

**Stanisław Szpotański**: **PROMETEUSZ**. Rzym, 1946. *Instytut Literacki*. Skład główny: The Vistula Press Ltd., 45, Cromwell Road, London, S.W.7. Stron 242. Cena 5s. 6d.

**Sergiusz Piasecki**: **JABLUSZKO**. Rzym, 1946. *Instytut Literacki*. Skład główny: The Vistula Press Ltd., 45, Cromwell Road, London, S.W.7. Stron 257. Cena 7s. 6d.

**SPRAWY MIĘDZYNARODOWE** — Kwartalnik. *Polski Instytut Badania Spraw Międzynarodowych w Londynie*. Stron 56. Cena 3s. 6d.

**Jan Bielawicz**: **BRYGADA KARPAČKA**. Rzym, 1947. *Instytut Literacki*. Skład główny: The Vistula Press Ltd., 45, Cromwell Road, London, S.W.7. Stron 39. Cena 2s. 6d.

## LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy).

### WYJAŚNIENIE

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z broszurą p. Andrzeja Pomiana-Dowmuntta, działacza NID-u p.t. *Powstanie Warszawskie 1944*, która dopiero teraz wpadła mi do rąk, proszę Pana Redaktora o zamieszczenie w swoim piśmie następującego wyjaśnienia:

1. Dowództwo obwodu Mokotów, przemianowanego później, t.j. 20. 9. 1944 na X-tą Dywizję Piechoty, objąłem 22. 8. 1944 r.

W dniu 29. 9. 1944 r. po 56-ciu dniach walki, posiadając teren około 1 km. kw. i na nim 14.000 społeczeństwa cywilnego bez żywności i wody, zmaltretowanego walką i niezdolnego pod żadnym względem do dalszego oporu, powzięłem decyzję wyewakuowania resztek wojska kanałami do śródmieścia, o czym przez radio zameldowałem Dowódcy Korpusu Obrony Warszawy.

Twierdzenie p. Pomiana, że "bez rozkazu i bez konieczności opuściłem dzielnicę w przeddzień jej upadku", jest wydawaniem sądu, do którego autor broszury nie ma żadnych podstaw. Decyzja moja powzięta w tragicznych warunkach, w jakich znajdował się zarówno społeczeństwo, jak i oddziały walczące, miała pełne uzasadnienie w sytuacji bojowej.

2. Dnia 20. 9. dowódca A.K., po reorganizowaniu oddziałów na Korpus Warszawski A.K., mianował mnie dowódcą X-tej Dywizji Piechoty na Mokotowie. P. Pomian w swojej broszurze pozwala sobie na zwrot, że objąłem tę jednostkę jako "niefortunny" dowódca. Nie wiem, czy wydając znowu taki bezceremonialny sąd autor broszury chce załatwiać porachunki polityczne z Narodową Organizacją Wojskową, na czele której stałem od r. 1941 aż do końca, czy też chce przez to wyrazić również naganę dowódcy A.K., który mojej nominacji dokonał.

N.O.W. rozwijała się jako organizacja samodzielna, a w r. 1942 armia jej weszła w siłę 75.000 ludzi w skład A.K. Szeregi N.O.W. były traktowane przez sztab A.K. w sposób niesprawiedliwy, jako element różniący się ideowo od tych zespołów, które skupiły się około dowództwa Z.W.Z., a później pretendowały do tego, że one są jedynie powołane do kierownictwa wojskowego i politycznego całości sił zbrojnych polskiego podziemia. Na tym tle wypowiedzianych przez p. Pomiana pod moim adresem uwag nie można traktować inaczej, niż jako dalszy ciąg walki politycznej, której na imię — rok 1926.

Sam dane do przypuszczenia, że pisząc swą broszurę autor korzystał ze źródeł Biura Historycznego przy Sztabie Głównym. Broszura jego naszpikowana jest masą nazwisk, które, nie wydaje mi się, aby należało było już teraz publikować. Wiem na pewno, że nie wszystkie osoby wyraziły zgodę na zamieszczenie swych nazwisk wraz z pseudonimami. Nie wszyscy przecież kierownicy polskiego Państwa Podziemnego poszli śladami pułkowników: Radosława, Rzepeckiego, czy Sanojcy.

Odpowiednie czynniki wojskowe są odpowiedzialne za tego rodzaju nawet broszurowe publikacje: są odpowiedzialne zarówno, jeśli się to dzieje za ich wiedzą, gdyż w ten sposób dają swoją aprobatę na prowadzenie w sposób niewłaściwy walki politycznej i pomniejszanie organizacji i osób, które dały swój krwawy udział w ciągu tej wojny, budując jedność zbrojnego wysiłku Narodu Polskiego, i są odpowiedzialne również, jeżeli się to dzieje poza ich plecami i jeżeli nie potrafią wywrzeć wpływu na podległych im autorów broszury.

Tragiczne Powstanie Warszawskie z r. 1944 znalazło już wiele opisów i naświetlań, niewątpliwie nie wyczerpujących tematu. Podpisany również opracował fragmenty walk z czasów okupacji i Powstania, których był świadkiem i uczestnikiem, — nie, jak autor broszury, pod przymusem "obowiązku kronikarskiego".

Wszystkie te materiały pozwolą może kiedyś na sąd historii o Powstaniu Warszawskim, publikacje bowiem dotychczasowe są jednostronne i obliczone na pomniejszanie roli elementów narodowych czasu Drugiej Wojny Światowej.

Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku

JÓZEF ROKICKI, ppłk.

b. Komendant Główny Narodowej Organizacji Wojskowej.

b. p.o. D-cy X-tej Dywizji Piechoty A.K.

Paryż, dnia 18 lipca 1947.

Treść Nr. 113 (Rok VII, Nr. 8) "Myśl Polskiej":

WOLNOŚĆ NIEPODZIELNA; ORIENTACJA POLSKA — Tadeusz Bielecki; O SZEROKI FRONT OPORU PRZECIWI NIEBEZPIECZYSTWU KOMUNISTYCZNYM — M.E. Rojek; FRAGMENTY — Wiktor Trościanko; BIAŁY KWIAT — Witold Nowosad; BZY KWITNA NAD KOKSZACĄ — Aleksandra Poleska; TROCKI O STALINIE — T.W.; UWAGI: Symbole wielkości, Zagłębie Ruhry, Plan dla zachodniej Europy, Wojna w Grecji, Chiny, Groźne niebezpieczeństwo, Pod gwiazdą Dantona, Jacobovsky w Berlinie, Kurtyna moralna; PRZEGLĄD WYDAWNICTW; KULTURA I ŻYCIE; KSIĄŻKI NADEŚLANE; LISTY DO REDAKCJI.

"MYŚL POLSKA"  
zalożona w 1941 r. w Londynie,  
ukazuje się raz w miesiącu.

Redakcja i Administracja:  
8 Alma Terrace, Allen Street,  
London, W.8. Tel. WESTERN 1797.

Prenumerata półrocznie (6 numerów)  
12s. lub \$4.  
Prenumerata rocznie (12 numerów) —  
£1. 4s. 0d. lub \$8.